№ 46. Warszawa, dnia 13 (1) Listopada 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

AUSTRYACKIE STRACHY.

Z przemówień prezesów delegacyi austro-węgierskich prasa europejska wyciągnęła wnioski niepokojące. Zwłaszcza zaś słowa Smolki dały powód do alarmu, który dzienniki podnoszą z równym zapałem, jak giełda. Słusznie jednak trzeźwiejsze głowy zauważyły w tej wrzawie, że wywody Smolki mogły być poglądem wyłącznie osobistym, że trzeba zaczekać, czy on je powtórzy w odezwie do cesarza, nadewszystko zaś baczyć, co odpowie monarcha austryacki. Oba te akty już się spełniły i w znacznej części zawiodły nadzieje, gdyż ogłosiły wyrocznię dwuznaczną.

Po zwykłym hołdzie wiernopoddańczym Smolka przedstawił cesarzowi następującą ocenę położenia. „Wasza c. k. mość umiałeś wprawdzie utrzymać błogosławiony i tak gorąco pożądany pokój, co upoważnia nas do wyrażenia nadziei, iż mądrym zarządzeniom i postanowieniom w. c. mości uda się zapewnić jeszcze długie trwanie tego stanu, który dla dobra monarchii tak jest potrzebnym. Atoli ta pewność nie powinna sięgać tak daleko, ażebyśmy nie mieli rozumieć, że zdarzenia, które się usuwają z pod przewidywań i obliczeń najmędrszych, mogą nas zmusić do stanięcia w obronie żywotnych interesów państwa. Wypadki bowiem, które na południowo-wschodzie rozwijają się w sposób groźny śród namiętnego wzburzenia, zalecają ostrożność a nawet przezorność i nakazują poczynić właśnie podczas pokoju wszystko, czego wymaga stanowisko mocarstwa, zapewnić mu siłę odporną i bitność naszej wybornej armii, zwłaszcza, że wobec ustawicznie i niebezpiecznie wzmagających się uzbrojeń innych mocarstw, wobec ich gorączkowego starania się o broń lepszą od innych, wobec niepewnych stosunków zagranicznych, Austro-Węgry pod względem użycia odpowiednich a wyczerpujących środków ostrożności żadną miarą w tyle pozostać nie mogą." Mówca tedy spodziewa się, że delegacye nie odmówią rządowi znacznej dopłaty do budżetu na cele wojskowe.

Na to odrzekł cesarz: „Nieszczęsne zawikłania w Bułgaryi dają znowu powód do poważnych obaw. Wprawdzie udało się wspólnym usiłowaniom mocarstw ruch ten umiejscowić i utorować powrót stosunków prawidłowych, mimo to najnowsze wypadki w Sofii wywołały nowe niebezpieczne przesilenie, którego przebieg i — jak się spodziewam — pokojowe załatwienie jest właśnie przedmiotem bacznej uwagi mojego rządu. Dąży on do tego, aby przy ostatecznem uporządkowaniu kwestyi bułgarskiej — co powinno nastąpić przy współudziale mocarstw — zaprowadzić w księstwie autonomicznem stan legalny, któryby, dogadzając słusznym żądaniom bułgarów, zarazem odpowiadał istniejącym traktatom i europejskim interesom. Doskonałe stosunki, w jakich pozostajemy ze wszystkiemi mocarstwami, i zapewnienia pokojowych zamiarów, jakie odbieramy od wszystkich rządów, pozwalają nam trwać w nadziei, iż mimo trudnego położenia na Wschodzie, zdołamy jednak utrzymać błogosławiony pokój z zapewnieniem interesów monarchii austro-węgierskiej i Europy."

Gdyby te przemowy czytał i wyjaśniał chłopski rozum, nie znalazłby on w nich zapewne żadnej obawy i wogóle nie dostrzegłby różnicy od zwykłych tego rodzaju wystąpień. Prezes delegacyi, zarówno jak cesarz, mówią wprawdzie o trudności i niebezpieczeństwie położenia, ale obaj wierzą w wyjście z niego pokojowe, a jeżeli pierwszy wspomina o możliwości starć, toć przecie taka możliwość zawsze istnieje. Na obie zatem szale włożono jednakowe wagi. Ale prasa, wyćwiczona w rozumieniu subtelności politycznych, dostrzegła, że jedna z tych szal opadła nieco niżej, obciążana niepokojem. Wybadano po kolei każdy wyraz i wywnioskowano, że dają się wysłuchiwać groźne w piersiach Europy szmery,

Jakże jest w istocie?

Nie chcemy grać roli zabawnej i przypisywać sobie w polityce wielkiej zdolności dyagnostycznej. Pozwolimy sobie jednak wyrazić zdanie, że *Journal de St. Petersbourg* słusznie mowę cesarza austryackiego nazywa „pokojową." Ażeby zrozumieć jej pozorną grozę a istotną pokojowość, trzeba uwzględnić ten fakt, że przemówienia miały na widoku nie zagranicę, ale kraj własny, powołany do wielkiej ofiary na rzecz budżetu wojennego. Smolka wypowiedział jedno zdanie, które najlepiej tłomaczy i objaśnia czarne barwy jego obrazu. „Szczególnie owe pozycye— rzekł on— w których administracya spraw wojennych żąda *znacznie wyższego* pokrycia, delegacya postara się *pogodzić ze zdolnością płatniczą opodatkowanych*." Jak wiadomo, ta „zdolność płatnicza" w Austryi jest już podatkami prawie wyczerpaną, należało ją więc pobudzić narkotykiem obawy zewnętrznej. Stąd obraz położenia musiał być nakreślony posępnie. Gazety też rosyjskie nie stwrożyły się jego widokiem, a niektóre (*Now. Wremia*) zażartowały z „wybornego i walecznego wojska," o którem wspomniał Smolka. Wiedzą bowiem, że dyabeł wymalowany został na ścianie dlatego, ażeby przestraszony kraj chętnie przyjął nowe brzemię podatkowe, dodane do tylu ciężkich.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Powstanie w Burgasie, skierowane przeciw obecnemu rządowi bułgarskiemu zostało stłumione, ale wrzenie umysłów wzrasta w całym kraju. Regencya zmuszona była ogłosić stan oblężenia, przeciw czemu protestował jeden z jej członków Karawełow i dopiero w ostatniej chwili ustąpił i dekret podpisał. Rząd bułgarski pod wpływem ostatnich wypadków zrozumiał, że opór jego nie może liczyć na poparcie obcych mocarstw, ustępuje więc wszystkim prawie żądaniom Rosyi, pragnąc ocalić tylko pozory. Nawet podejrzanego o kierownictwo powstania w Burgasie, kapitana rosyjskiego Nabokowa, natychmiast po przeprowadzeniu śledztwa, rozkazano uwolnić, tj. właściwie oddać władzom rosyjskim. Zaproponowano nawet Cankowowi udział w rządzie i dlatego tylko, że żądał on zupełnego usunięcia przedstawicieli innych stronnictw, układ nie przyszedł do skutku.

Uległość ta jednak nie jest zupełną. Wbrew oświadczeniom gen. Kaulbarsa, „sobranie" przystąpiło do wyboru księcia i ofiarowało tron ks. Waldemarowi duńskiemu, do którego wysłano już telegram a wkrótce ma wyjechać osobna deputacya. Dlaczego jednocześnie Karawełow podał się do dymisyi — telegramy czwartkowe nie objaśniają. Naturalnie nie mówią one jeszcze, jak ów wybór przyjęty został przez mocarstwa, a zwłaszcza przez Rosyę, która w zasadzie odmówiła prawności wszelkim uchwałom sejmu bułgarskiego i działaniom regencyi.

Na uczcie lorda majora Salisbury dotknął sprawy bułgarskiej, usiłując — naszem zdaniem daremnie — przekonać świat, że gniewna postawa Anglii — to nie *vana ira sine viribus*. „Anglia — rzekł on — nie przyjmie na siebie roli spełniania cudzych obowiązków. Jeżeli wszakże jej interesy zostaną obrażone, nie będzie ona nikogo (!) prosić o radę, ani szukać pomocy. Zresztą obecnie interesy te *nie są zupełnie zadraśnięte.*" Dobra mina na złą grę. Anglia uważa swe interesy za „zadraśnięte," gdzie ma siłę do obrony, w przeciwnym razie nadrabia miną. Przybył jej nowy kłopot. W Afganistanie wybuchły poważne rozruchy. Najpotężniejsze plemię gilzajów powstało przeciw emirowi, wprawdzie nie z powodów politycznych, lecz wskutek nałożenia podatków, na wschodzie jednak różnice tego rodzaju nie grają żadnej roli. Faktem jest, iż protegowany Anglii z trudnością zdoła stłumić rokosz. Opiekunka sama nie wie co robić, czy zostawić rzeczy biegowi naturalnemu, czy też pospieszyć z pomocą. Ten drugi sposób działania spotyka dwie ważne bardzo przeszkody: jedną jest brak rozporządzalnej siły wojennej w Indyach, drugą—obawa, ażeby wmieszanie się Anglii do spraw afgańskich nie wywołało przeciwdziałania ze strony Rosyi. Pozostaje więc trzecia droga, wypróbowana ale kosztowna; trzeba po prostu zapłacić pewną sumę gilzajom, a wtedy rokosz ustanie. Zdaje się, że tę drogę ostatecznie Anglia wybierze.

Ciekawą bardzo wiadomość podaje *Frankf. Ztg.* że ks. Bismark wezwał do Warzina słynnego finansistę Bleichrödera i oznajmił mu, iż rząd niemiecki przedsięweźmie poważne środki przeciw napływowi do kraju papierów zagranicznych. *Warsz. Dniewnik* słusznie twierdzi, że chodzi tu przeważnie o papiery rosyjskie. Dążenie do pozbycia się ich, popierane przez kanclerza, uważać można poniekąd za objaw obawy przyszłych zawikłań, w każdym razie za fakt bardzo znaczący pod względem politycznym.

Marszałek sejmu galicyjskiego Mikołaj Zyblikiewicz z powodu choroby złożył tę godność. Następcą jego zostanie prawdopodobnie książę Adam Sapieha, chociaż rząd, nie dowierzając nawróceniu byłego opozycyonisty, popiera kandydaturę hr. Jana Tarnowskiego, jednego z najbardziej skrajnych stańczyków. Były marszałek podobno jest bez nadziei życia.

SPRAWY EKONOMICZNE.

BANK WŁOŚCIAŃSKI.

Dzienniki rosyjskie podają, jako zupełnie pewną, wiadomość, że działalność banku włościańskiego, istniejącego od lat kilku w Cesarstwie, rozszerzoną ma być na Królestwo, z niektóremi zmianami, odpowiedniemi do warunków miejscowych.

Jakkolwiek w przedmiocie tym mówiliśmy dosyć obszernie przed trzema prawie laty (*Prawda* nr. 6, 7, 1884), z powodu projektowanego wówczas użycia na taki cel, tak zwanego, funduszu użyteczności publicznej, później zaś poruszaliśmy niejednokrotnie bądź działalność banku w prowincyach zachodnich, bądź wogóle sprawę kredytu włościańskiego, dzisiaj wszakże, kiedy rzecz cała wchodzi na grunt praktyczny, do poprzednich głosów dodać chcemy kilka nowych uwag.

W kraju naszym znajduje się około 2,000,000 ludności bezrolnej, co stanowi $^1/_3$ ogółu wiejskiego. Cyfra ta nie jest bynajmniej wygórowaną i da się z dosyć znacznem prawdopodobieństwem ustanowić. Statystyka urzędowa wykazuje około 650,000 osad wiejskich, czyli biorąc po 5 osób na rodzinę — 3,250,000 ludności posiadającej ziemię, mieszkańcy wsi zaś stanowią w kraju około 5½ milionów. Są zresztą i uboczne dane. Według p. Górskiego, służba folwarczna z rodzinami wynosi przeszło 800,000 osób, dodawszy do tego parobków chłopskich, komorników, chałupników itd., otrzymamy co najmniej drugie tyle, a więc do dwóch milionów już niedaleko. Oprócz tego proletaryatu, posiadamy jeszcze około miliona ludności małorolnej, tj. takiej, której grunta nie przenoszą 3 morgów na rodzinę. Wobec tych danych nie może ulegać wątpliwości, że sprawa uposażenia ziemią tej masy proletaryatu rolnego jest dla nas doniosłą niezmiernie i naglącą. Pomimo względnego rozwoju parcelacyi w ciągu ostatnich lat dziesięciu, postępuje ona dotychczas bardzo powoli. Własność włościańska od chwili nadania jej praw, powiększyła się zaledwie o 600,000 morgów, tj. o 7%, wzrost ten jest kilkakroć mniejszy, aniżeli wzrost ludności. Zauważyć trzeba wreszcie, że powiększenie to nastąpiło w znacznej mierze wskutek dobrowolnej zamiany służebności. Dotychczas jeszcze co do obszaru gruntów przeważa u nas własność większa, należy bowiem do niej 44% ziemi, kiedy chłopi posiadają tylko 41%, a rząd i instytucye publiczne 15%.

KSIENI Z JOUARRE

Ernesta Rénana.

AKT II.

Scena 2.

(Julia pogrążona w modlitwie. Drzwi otwierają się bez szmeru. Wchodzi d'Arcy, przez nią niespostrzeżony, i staje nieruchomy w zamyśleniu. Julia odwróciwszy głowę, spostrzega go).

Julia. Zdrada! Zdrada! I ty to jesteś zdrajcą, drogi przyjacielu. Spełniałam moją ofiarę — modliłam się. Dumałam o tobie — nie kryję tego. Myślałam o tobie w obliczu Boga. O mój drogi, cóżeś uczynił! Czyliś nie rozumiał, że miłość, jeśli ma być dla nas pociechą aż do chwili, kiedy głowy spadną pod jednym nożem, winna zostać czystą? że brutalna moc, co nas rozdzieliła, była dobroczynną? Jakto, jednym błędem, jedynym w życiu twojem, miałżebyś skalać obraz, który pragnęłam unieść z sobą w wieczność? Straszne to godziny, które chciałam spędzić w modłach i marzeniu, a w których ty zmuszasz mię wybierać pomiędzy złamaniem przysięgi a walką z własnem sercem!...

D'Arcy. Julio, to, co się czyni wobec śmierci — wyłamuje się z pod zwykłych praw. Kto nas sądzić będzie? Bóg, czyli istota rzeczy, widzi czystość naszego życia. Ludzie dla nas już nie istnieją, jesteśmy sami na świecie w położeniu, w jakiem znaleźliby się dwaj rozbitkowie na odłamie statku, pewni, że ich lada godzina śmierć pochłonie. Dlaczego natura nałożyła kiełzna tajemnicze na najsilniejszy z popędów, którymi nas obdarzyła? Albowiem przyszłość człowieka na tem spoczywa. Nasza miłość, droga Julio, jest bez przyszłości. Rozkoszne drgnienia, które czuć będziemy, aż póki topór nas nie schwyta, będą jej całem jutrem.

Nie masz przykładu, żeby ktokolwiek przebył dwie nocy w tym przedpokoju śmierci. Gdyby Bóg kochankom, co zmarli bez pieszczoty, udzielił po za grobem jedną noc łaski, czyż wyrzucałby godzinę, którą im zesłał jego miłosierny wyrok? Takiem jest nasze położenie. Wiesz przecie, jaki szacunek miałem zawsze dla konieczności społeczeństwa ludzkiego. wówczas nawet, gdy w nich działał dobrowolny układ. Lecz jakie prawo mają nad nami ludzie w tej chwili? Z nimi jużeśmy się skwitowali. Zaiste, hańba temu, kto widzi w miłości tylko roskosz przemijającą, nie bacząc na jej święte następstwa!

Biedna przyjaciółko! To, coby było szczęściem naszego życia, gdyby go nam czczone przez nas ustawy nie odebrały, nie będzie udziałem naszym. Owoc naszej miłości zamrze wraz z nami, zarodek kilkogodzinny, zgubiony w otchłani nocy nieskończonej...

Julia (wybuchając łkaniem). Wstrzymaj się, bo mi przeszywasz serce.

D'Arcy. Twój wielki umysł, ogarniający naraz przeciwległe bieguny rzeczy, oddzielał zawsze ducha od litery, urządzenie od jego idealnego celu, umowę od tego, co ją usprawiedliwia. Natura chce, byśmy się radowali i jednocześnie każe nam ograniczać nasze szczęście. Żąda, byśmy kochali i każe nam drżyć przed miłością. Nigdy nie złorzeczyłem tym regułom, napozór despotycznym, które są warunkiem istnienia. Płoche społeczeństwo, w którem żyliśmy, nie zaraziło mię swoją lekkością. Miłość była zawsze dla mnie czemś świętem. Była niem i dla ciebie. A więc dlaczegoż nie chcesz, byśmy zakosztowali owoców naszej niewinności. Jedna chwila szczęścia, jedna chwila zapomnienia czyż się nam słusznie nie należy. Nie jestże aż nadto sprawiedliwem, by cnota w ostatniej godzinie otrzymała krótkotrwałą, lecz wyższą nagrodę? O moja droga, moja droga, godziny mijają. Już świtać zaczyna ostatni nasz dzień. Pozwól mi na ustach twych złożyć pocałunek.

Julia. Drogi mój, grzeszę może, lecz kocham cię całem mojem sercem. (Nadstawia usta do pocałunku).

D'Arcy. Czy nieprawda, najdroższa, że to korona życia? Twoja wstydliwość jest słuszną; i to jest jedna z przyczyn, dla których cię ubóstwiam. Lecz oddal od siebie myśl, jakoby miłość była pospolitą ucieczką; oddal powierzchowną różnicę między ciałem i duszą. Czemże jest dusza bez ciała; a zmysły, czem są, jeśli nie poufnem obcowaniem z wszechświatem? Do-

Potrzeba więc kredytu przystępnego dla włościan na kupno ziemi ulegać nie może zaprzeczeniu i wszelkie usiłowania w tym kierunku przyniosą pożytek niewątpliwy. Idzie tylko o to, czy działanie banku posiadać będzie doniosłość odpowiednią ważności sprawy i czy organizacya kredytu okaże się właściwą?

Nie podzielamy zdania tych publicystów, którzy sądzą, że bank włościański rozwiąże plątający się u nas coraz bardziej węzeł sprawy rolnej. Działalność jego będzie tylko półśrodkiem, łagodzącym zaledwie dzisiejszy stan rzeczy. Nie o wiele zmniejszy ona ludność bezrolną, w najlepszym razie powstrzyma jedynie jej przyrost, skuteczniej może wpłynie na położenie włościan małorolnych. Ale i taki półśrodek będzie bardzo pożądanym, jeżeli przyjmie szersze rozmiary, o czem rozstrzygnie stanowczo sposób organizacyi pożyczek.

Organizacya kredytu jest w danym wypadku rzeczą niezmiernie ważną. Oto np. niedawno oddział banku włościańskiego w Kownie został zamknięty, ponieważ włościanie nie brali wcale prawie pożyczek. Jednocześnie wszakże parcelacya majątków większych na Żmudzi odbywa się ciągle. Zbadanie przyczyny tego niepowodzenia dostarczyć by mogło cennych wskazówek co do przyszłej działalności banku włościańskiego w Królestwie. Z przyczyn tych, świadomi rzeczy wskazują główne dwie: zbytnią formalistykę w czynnościach banku i nieufność włościan.

Warunki kredytu włościańskiego nie mogą być nazwane dogodnymi. Od sumy pożyczonej płacić trzeba 2½% rocznie, w 2 ratach, oprócz tego po 2% lub 1% na umorzenie, stosownie do tego, na jaki czas udzieloną zostaje pożyczka—na 24½ czy 34½ lat i ½% na administracyę, co razem wynosi 7—8%. Procent taki opłacić może z łatwością właściciel drobnej posiadłości wtedy tylko, jeżeli suma pożyczona nie przenosi połowy wartości gruntu, tj. kiedy posiada dosyć znaczny fundusz na kupno ziemi, a bank przychodzi mu tylko z pomocą. Ale bank przedewszystkiem nie takich musi mieć na celu, ci bowiem od biedy sami daliby sobie radę. Pragnie on pomódz prawdziwym proletaryuszom i to właśnie nadaje działalności jego pewną doniosłość społeczną.

Wysokość pożyczki nie może przenosić w Cesarstwie 75% ceny sprzedażnej i 500 rubli na każdą rodzinę lub 125 na duszę męzką, jeżeli kupuje cała gromada solidarnie. U nas maximum ma być podniesione do 90% i podobno do 600 rs. na rodzinę, ale i wtedy nie zawsze wystarczy zaliczka, przy istniejących cenach ziemi, na kupno osady, zabezpieczającej utrzymanie średniej rodziny włościańskiej. Nabywca posiadać musi koniecznie własnych kilkaset rubli na dopłatę 10%, kupno inwentarza żywego i martwego, postawienie budynków itd. Dajmy na to, że otrzymana pożyczka pozwoli mu kupić 10-morgową osadę (licząc tylko po ,2000 rs. włókę), to z tego kawałka ziemi, który ledwie wyżywi rodzinę, będzie musiał płacić oprócz podatków rządowych i gminnych, 42 lub 48 rs. rat bankowych.

Wobec tego nie sądzimy, żeby działalność banku przybrać mogła szerokie bardzo rozmiary. Z kredytu skorzystają głównie włościanie, posiadający osady drobne, ci bowiem ze sprzedaży swych gruntów otrzymają fundusz, niezbędny dla kupna, oprócz pożyczki bankowej. W służbie wyjątkowo chyba zebrać można większy kapitalik, ci zaś włościanie, którzy posiadali oszczędności: wydali już je na kupno ziemi. Wtedy tylko, gdyby procent zniżony został do połowy i gdyby wydawano, jako pożyczkę, całkowitą cenę sprzedażną, gdyby wreszcie kupowano wyłącznie majątki z inwentarzem i budynkami, z kredytu bankowego skorzystałby istotnie proletaryat rolny, ale przy tych warunkach wypłacalność dłużników nie jest dostatecznie zapewnioną. Tak mówią powszechnie. Pozwolę sobie wszakże mieć nieco zdanie: wierzyłbym może więcej w wypłacalność tego chłopa, który otrzymał pożyczkę w wysokości całkowitej ceny gruntu, ale przy warunkach ułatwiających mu prowadzenie gospodarstwa, aniżeli tego, który dostał 90% wartości ziemi, resztę zaś dopożyczył od lichwiarza.

Takie uwagi nasuwa nam wiadomość o warunkach przyszłej działalności banku włościańskiego w Królestwie. Może być bardzo, że mylimy się w tym względzie, gdyby jednak nawet zastrzeżenia nasze okazały się słusznemi, to i wtedy nie zmniejszą one niewątpliwej doniosłości wpływu tej instytucyi na społeczne i ekonomiczne stosunki kraju. Dopomoże ona do wzrostu parcelacyi własności większej, która w ostatnich latach przechodzi ciężkie przesilenie. Sprzedaże majątków ziemskich w drodze przymusowej stanowią dzisiaj objaw powszedni, dla interesów zbiorowych nader szkodliwy, ziemia bowiem dostaje się zwykle w ręce ludzi obcych, najczęściej wrogo usposobionych względem kraju i ludności miejscowej.

Nie pojmujemy zupełnie tej niechęci, którą zdradzają lub zdradzały względem projektów banku włościańskiego organy, przedstawiające interesy większej własności. Dla tej ostatniej bank okazać się może raczej pożytecznym, aniżeli szkodliwym. Jeżeli jest ona formą ekonomicznie słabszą, wtedy musi koniecznie ustąpić. Nie o to zresztą w danym razie idzie. Mnóstwo majątków przechodzi na własność kapitalistów żydowskich i niemieckich, czy nie lepiej więc, że ziemię tę nabędzie chłop polski. W jednej gubernii płockiej od r. 1860 do 1875 osiedliło się 2,120 rodzin kolonistów niemieckich, a w ostatnich latach przybyło ich znowu około 1,000 rodzin, gdyby bank uniemożliwił napływ tego wrogiego żywiołu, już i wtedy oddałby nieocenioną usługę.

Obrońcy większej własności lękają się najwięcej, chociaż najmniej o tem mówią, podrożenia robotnika. Jakkolwiek obawa ta nie zasługuje w oczach naszych na uwzględnienie życzliwe, możemy dodać, że jest ona najzupełniej płonną. Najprzód dla tego, że działalność banku przybrać nie może zbyt szerokich rozmiarów, gdyby nawet bowiem osadziła ona na roli około 4,000 rodzin, czyli 20,000 ludzi rocznie, to tyle wyniesie przyrost naturalny ludności bezrolnej, gdyby ta liczba podwoiła się wreszcie, to i wtedy ilość robotników zmniejszyłaby się zaledwie o 1% rocznie. Powtóre dlatego, i to jest punkt najważniejszy, że ze wzrostem parcelacyi zmniejszać się będzie obszar gruntów dworskich, a więc i zapotrzebowanie pewnej ilości robotników stałych i dziennych. Natomiast własność większa skorzysta z podniesienia się cen ziemi, które wywołać musi współzawodnictwo przy kupnie. Jeżeli więc po-

---

bro jest metą świata a miłość spotęgowanym wyrazem dobra. Wszystko w przyrodzie woła do nas: „kochajcie się.“ A któż powtarza to wymowniej od śmierci? Wyobraź sobie świat w przededniu końca, zaprawdę, mówię ci, wtedy panowałaby sama miłość, bez praw, bez więzów, albowiem to, co ją ogranicza i ujmuje w karby, nie miałoby już żadnego sensu. Celibat jest tylko konsekwencyą rodziny, tak jak ją uorganizowano. Twoje śluby nie istnieją już. Jedynie węzeł, którym nas natura połączyła, trwa jeszcze; trwa on bardziej rozkazująco, bardziej absolutnie, niż kiedykolwiek.

Julia. Oh! straszna walko! D'Arcy, ty mi każesz nienawidzieć ciebie. Po co przyszedłeś tutaj? (Idzie ku drzwiom, ale zastaje je zamkniętemi). Puść mię, puść! (Pada na kolana u krawędzi łoża). O Boże dusz prostych, dlaczegóż ja tobą wzgardziłam? O, jak to ciężko w powszechnym porządku stworzyć dla siebie osobne prawo! Zostając wierną ogólnemu prawidłu, mogłabym koić ból ostatnich godzin balsamem, który rozprasza myśli grzeszne, wspomnienia gorzkie i sprawia, że rozściełającemu się mrokowi idziemy na przeciw, jak gdyby upojeni owem winem z myrrhy, które przyrządzały niewiasty w Jerozolimie, dla osłodzenia ostatnich chwil męczenników. Obrządki święte, tajemnicze pomazania, które słusznie jesteście niedościgłemi, albowiem mówicie o czemś nieznanem — dla mnie jesteście niedostępne. Skazana na to, by widzieć z nieubłaganą jasnością, jak minuty biegną jedna za drugą, zabiłam w sobie nieświadomość. Przed chwilą chciałam zasnąć na głazie. D'Arcy, po coś ty mię obudził?

D'Arcy. Czas poświęcony snowi stracony jest dla życia. Chcesz siłą rozmyślań powrócić do naiwności. Doprawdy, to dzieciństwo! Gdyby nasz stan umysłowy i moralny był stanem tylu dusz, co to na szyderstwo zamieniły bogobojność, a głębokie poczucie istnienia swego na wietrzność — twoje rozumowanie byłoby słuszne. Zgon — to godzina fatalnie poważna. Lekkoduch musi wówczas stać się prostakiem albo starać się ogłuszyć. Nie takiem jest nasze położenie, droga przyjaciółko. Dzięki wzniosłym zasadom, które przewodniczyły naszemu życiu, zyskaliśmy przywilej nie kajania się i nie odurzania. Znosić z poddaniem zło, przyjmować dobro — oto nasza filozofia. Śmierć, którą poniesiemy niebawem, zastanie nas zrezygnowanymi. Nie mamy pretensyj, by stać po nad opłakaną grą trafu. Dlaczegóż więc mamy wznosić się nad to przyjazne spotkanie? Dziwnym jest snem to przejście przez krainę rzeczywistości. Pokutą lub doskonaleniem się według jednych, ponurą igraszką według innych— dla nas najwyższym wynikiem wszechbytu. Myśmy nie dzielili nigdy złudzeń ascetów. Nigdy też na ustach naszych nie było tak fałszywy uśmiech libertyna; pocóż więc, w ostatniej godzinie mielibyśmy dzielić jego skruchy i trwogi? Myślałaś przed chwilą o błogosławieństwie kapłana. Ażaliż ja nie jestem dla ciebie kapłanem? Julio droga! Z rozkazu samej natury, wyższej nad wszelkie urojenia ludzkie, powinienem był zostać twym małżonkiem. Urządzenia, których nietrwałość i względność widzieliśmy a które mieliśmy za kamienie węgielne budowy społecznej, skazały cię na dziewictwo, poniekąd bluźniercze. Ten stan społeczny już przeminął. Oddani na pastwę rychłej śmierci, jesteśmy wolni i prawa, uwarunkowane potrzebą trwałego porządku rzeczy, nie mają już dla nas wagi. Niezadługo ockniemy się w bezwzględnej prawdzie, która nie zna ani czasu, ani miejsca. Wyprzedzimy czas, droga Julio. Ludzie nas zabijają, korzystajmy z ich wyroków, nie uważajmy siebie za skrępowanych ich prawami czczemi i przemijającemi; oni sami odwołują je dla nas. Ah! Cóż nam przeszkadza skonać z rozkoszy naszych pocałunków?

Julia. Jakże pragnęłabym należeć do tych kobiet, które mają jedną odpowiedź: „Miej litość nad moją słabością.“ Byłoby z mojej strony obłudą wyrzec coś podobnego. Ja nie jestem słabą. W życiu stawałam zawsze po stronie bohaterstwa i hartu. Teraz mogłam łatwo uniknąć trybunału rewolucyjnego. Dosyć było najbłahszego kłamstwa, jednego ukrycia, nawet nie karygodnego mojej godności. Ale nie sądziłam, by ksieni z Jouarre mogła się zgodzić na tego rodzaju ustępstwo. Przeniosłam śmierć. Wyszłam na jej spotkanie. Nie, ja się nie zachwieję; to niemo-

mimo tych względów przedstawiciele interesów szlachty wrogo przyjmują projekty parcelacyi i banku, to bezwątpienia najgłówniejszą rolę gra tu owa niechęć do chłopa, która, niestety, przejawia się nieraz w postępowaniu klas uprzywilejowanych wtedy nawet, kiedy korzyść tego chłopa nie przynosi im żadnej szkody, a nawet pewne zyski.

W zasadzie więc rozszerzenie działalności banku włościańskiego na Królestwo społecznie i ekonomicznie może być dla nas tylko pożądanem i korzystnem. Stopień tej korzyści określi dopiero organizacya kredytu i warunki jej urzeczywistnienia w życiu praktycznem. Niema powodu do zbytnich złudzeń, ale tembardziej niema go do obaw, pod jakimkolwiek względem. Przedewszystkiem chodzić nam powinno o to, aby bank odpowiadał należycie swemu zadaniu, na ten więc punkt zwracać należy całą uwagę. Kiedy szczegóły będą już wiadome dokładnie, wtedy pomówimy o nich raz jeszcze.

J. L. P.

BADANIA NAUKOWE.

DZIEDZICZNOŚĆ I TEORYA DOBORU w świetle nowych badań biologicznych.

I.

Dziedziczność — ta tajemnicza własność przenoszenia formy i cech rodziców na potomstwo, jest jednem z najciekawszych i najważniejszych zagadnień, jakie umysł ludzki ma jeszcze do rozwiązania. Zajmuje też ona badaczów natury nie od dzisiaj i wielu z nich kusiło się już o wytłomaczenie tego zjawiska. Darwin, który rozumiał, jak wielką wagę posiada wyświetlenie dziedziczności, uzupełniającej jego nieśmiertelną teoryę, postawił „tymczasową hipotezę,“ znaną w nauce pod nazwą pangenezy.

Przypuszczał on, że wszystkie komórki organizmów rodzicielskich wydzielają z siebie zarodeczki, małe ziarenka, które, krążąc początkowo po całem ciele, skupiają się następnie w komórkach rozrodczych (jajku i nasieniu), rozmnażają się przez dzielenie i mogą nakoniec wytworzyć takie komórki, z jakich same początek wzięły. Suma ich wytworów musi zatem dawać organizm podobny do tego, w którym te zarodeczki powstały.

Teorya dziedziczności Brooksa jest tylko pewną odmianą pangenezy i różni się od niej tem, że przyjmuje, iż komórki organizmów rodzicielskich wydzielają z siebie zarodeczki nie zawsze, lecz wyłącznie wtedy, gdy są w nowych, niezwykłych dla siebie warunkach i gdy znajdują przeszkody ku wypełnianiu swych funkcyj normalnych.

Haeckel usiłował wybrnąć z kłopotu i załatwić się z dziedzicznością w ten sposób, że drobiny (molekuły) protoplazmy obdarował właściwościami życiowemi, które zazwyczaj biologowie przypisują dopiero wyższym i bardziej złożonym cząsteczkom materyi, zwanym *micellami*.

Oprócz wspomnianych znane są inne jeszcze na to zjawisko poglądy. Wszystkie jednak mają swoje strony ujemne.

Z pomiędzy wielu np. poważnych zarzutów, jakie robiono pangenezie, na jeden zwrócimy tu uwagę. Zgodnie z zasadą tej teoryi, w komórkach rozrodczych winny się znajdować zarodeczki, odpowiadające nietylko wszystkim częściom organizmu, lecz także wszystkim stopniom jego przemiany.

Organizm cały i fazy jego rozwoju w formie zawiązków istnieć już muszą w komórkach rozrodczych. Każdy bowiem zarodeczek wytwarza później daną część organizmu w takim stanie, w jakim się ona znajdowała u rodziców wtedy, gdy ów zarodeczek powstał. Jednej i tej samej części organizmu musi zatem odpowiadać znaczna liczba zarodeczków. W przypuszczeniu tem tkwi jednak duża niekonsekwencya. Albowiem ontogeneza (rozwój osobnikowy) jest jednem ciągłem zjawiskiem, a stadya w niej są tylko wytworem umysłu ludzkiego, sztucznym podziałem, zaprowadzonym dla łatwiejszego oryentowania się.

Mniemanie zaś, że dla jednej części organizmu istnieć może większa ilość zarodeczków, przypomina naiwne podanie o czaszkach św. Wawrzyńca, z których jedna, z czasów młodości, znajdować się miała w Madrycie, a druga, z wieku późniejszego — w Rzymie.

Wogóle żadna z dotychczas znanych teoryj dziedziczności szerszego uznania w kołach biologów nie znalazła i zadawalniającego wyjaśnienia tej ważnej kwestyi myślący ogół nadal oczekuje.

Tymczasem nowe podstawy do ugruntowania przyszłych co do tego przedmiotu poglądów odnalazł prof. freiburgski August Weissman. Kilka idej jego świeżych i śmiałych zrobiło duże wrażenie w kołach naukowych.

Już w roku 1884 ogłosił on pracę: *Ueber Leben und Tod*, w której dowiódł, że u najpierwotniejszych, jednokomórkowych istot śmierci naturalnej, niewywołanej wpływem zewnętrznych warunków, nie ma. Żyjątka te rozmnażają się przez dzielenie a przedzierzgnięciem się w nowe, pełne sił żywotnych istoty kończy się u nich indywidualne istnienie każdego osobnika. Proces ten poprzedzanym zwykle bywa przez t. w. encystacyę. Polega ona na tem, że dane indywiduum okrywa się błonką, cystą, we wnętrzu której spełnia się właśnie wspomniana metamorfoza. Zjawisko to uważano niedawno jeszcze za śmierć osobnika. Weissman dopiero dowiódł, że tak nie jest, gdyż, po pierwsze, żyjątko w stanie encystacyi daje liczne objawy życia, po drugie zaś, po skończeniu tego procesu nie ma zwłok.

U wyższych istot t. z. metazoów następuje powien podział pracy pomiędzy rozmaite komórki: jedne z nich mają za zadanie zachowanie gatunku i takie Weissman (a z nim Rauber, Nusbaum i inni) nazywa *genetycznemi*; drugich zaś funkcye skierowane są ku utrzymaniu życia pojedynczego osobnika; są to komórki *somatyczne*. Otóż śmierć pojawia się dopiero u wyższych osobników, ale też dotyka tylko komórek somatycznych, które wskutek spotęgowanej i jednostronnej działalności zużyć się i zginąć muszą; nie podlegają zaś jej komórki rozrodcze, które składają się na wytworzenie nowego organizmu. Komórki więc genetyczne, o ile sztucznie i wskutek zewnętrznych okoliczności nie giną, uważać można za nieśmiertelne.

żebne. Zostaw mię w pokoju, d'Arcy. Zaprawdę, przed nikim teraz niepotrzebujemy zdawać rachunku, lecz aż do chwili, kiedy topór na nas spadnie, winniśmy go samym sobie. Ja mam swoją dumę. Chcesz, żebym w obliczu śmierci we własnych zmalała oczach?

D'Arcy. Ah! duma! Julio droga, duma w takiej chwili, wobec mnie, twego przyjaciela, twego brata! wobec tego, któremu oddałaś serce! O jakże słusznie mawiali starożytni, że cnota kobiety musi być zawsze upokorzoną. Upokorzenie jest kobiecie potrzebne. Natura tego wymaga. Abelard stał się panem Heloizy, dopiero gdy ją zwyciężył. Mniemasz, że z tą postawą nieugiętą wejdziesz większą do królestwa wieczności? Mylisz się moja droga. Wejdziesz tam mniejszą. Gdybym był Dantem, utworzyłbym w mojem Piekle grupę dumnych niewiast, które we wzgardzie dla mężczyzn upatrywałyby wielkość. Wyniosła cnota jest w kobiecie występkiem. Będzie ci wiecznie czegoś brakło, wiecznie będziesz opłakiwała swe dziewictwo; wierzaj mi. Godną szacunku jest biedna dziewczyna, którą przeznaczenie skazało na życie niezupełne. Ale w tobie dar najwyższy ukazał się w warunkach wyjątkowych i ty go odsuwasz. Przyjaciela niezrównanego, którego ci niebo zsyła, pogrążasz we łzach. Mogłabyś umilić mu ostatnie chwile i go katuszy uczynić wiekuistą nagrodę; ale nie chcesz. Twoje zachowanie się jako ksieni będzie nieposzlakowane; te cnoty klasztorne, których znikomość widziałaś lepiej od innych, zostaną bez skazy, ale prawdziwej aureoli kobiet brak ci będzie. Wyobraż sobie, że trybunał, który nigdy jeszcze nie wypuścił swej zdobyczy, powróci ci jutro życie, — twoja starość znałaby tylko żałobę wzgardzonej miłości. Nielitościwa pamięć skarbu, który odepchnęłaś, a którego odzyskać nie można, zamieni cię na fontannę łez, którą ja drażnić będę z głębi posępnej wieczności. Ja, który nie mam do ocalenia ani honoru zakonnika i nie żywię żadnego płochego pragnienia — jestem wyższym od ciebie. Na sześć godzin przed śmiercią, myślę jedynie o śmierci, myślę tylko tobie, o miłości, którą ci poprzysiągłem. Zaprawdę, powtarzam, twa niezłomność sprawi, że całą wieczność płakać będziesz.

Julia (tonąc we łzach). Druhu okrutny, dlaczego przybywasz mącić godziny, które chciałam zapełnić pogodą; ja błądzę, słuchając cię i gdyby było wyjście z tego więzienia, rzuciłabym się w nie. Twoje wyrzuty ranią mi serce. Nie mam słusznej zasady odmawiać ukochanemu tego, co potępiam. Drżyj: niweczysz arcydzieło, niweczysz mój ideał życia! Jeżeli ulegnę — to ulegnę dla miłości.

D'Arcy. O tak najdroższa; tego właśnie żądam. O dzięki, dzięki! Przyjaciel, przygotowany na śmierć klęczy u twych kolan i błaga, byś uniosła z sobą do grobu dowód jego miłości.

Julia. Ah! D'Arcy! D'Arcy! Co czynisz ze mną?

D'Arcy. U progu śmierci nikt się nie myli. Spokojny jestem, żem zmysłów nie postradał. (Składa na jej licach pocałunek; ona mu go oddaje. Twarz Julii wyraża najpierw najwyższe pomieszanie; pocżem opromienia się rozkoszą).

Julia (omdlewając). Drogi mój, chwila ta jest dla mnie początkiem wieczności.

*
* *

(Scena odbywa się w przedsionku więzienia. Tuż przy wrotach stoi Jacquemet dozorca; na prawo mieszkanie odźwiernego Guillaumina i jego żony. Kilkunastu skazańców oczekuje przybycia wozu).

Julja. O tak! śmierć będzie dla mnie słodką. Na godzinę przed zgonem, tyś mi życie objawił. Ludzie nie będą nic wiedzieli o naszej miłości. Natura tego chciała i ona nas rozgrzesza. Więcej niż kiedykolwiek pewną jestem, że to przejście przez krainę światła dzieje się za sprawą niebios, że mrok, co nas ogarnia, jest tylko odbiciem nieskończoności, która niby łono ojca nas przytuli. Dzięki ci za to upokorzenie. Tyś mię uczynił więcej chrześcianską, niż byłam. Dopłynę do mroźnego brzegu wilgotna jeszcze od twych pocałunków.

D'Arcy. W istocie, miłość jest objawieniem nieskończoności, lekcyą, która nas zapoznaje z boskim pierwiastkiem. Otchnięny twą wonią, najdroższa, zasnę syt życia. Życie, wielki Boże, czy moglibyśmy je te-

Do takiego wyniku doprowadziły już Weissmana dawniejsze jego badania. W następnych pracach poszedł on o krok dalej: wygłosił mianowicie zdanie, że komórki rozrodcze (nasienie i jajko) nie idą całkowicie na wytworzenie nowego organizmu, lecz część ich pozostaje niezmienioną i stanowi znów genetyczne komórki następnego pokolenia. Uznaje on ciągłość „plazmy“ zarodkowej. Jest ona, zdaniem W., taką spójnią w szeregu następujących po sobie pokoleń, jak wspólny pień lub korzeń dla pewnej liczby generacyj u roślin. Ale ta nić, łącząca przenosi zarazem własności i cechy rodziców na potomstwo i jest naturalnem podścieliskiem zjawiska dziedziczności. Moc przekazywania indywidualnych własności na następne pokolenia jest więc najściślej związaną z istotą plazmy zarodkowej, względem tej ostatniej zaś reszta organizmu odgrywa tylko rolę materyału odżywczego.

Atoli wobec takiego twierdzenia powstają dwa ważne pytania: czy wpływ, jaki wywierają na plazmę zarodkową, a zatem i na przyszłe indywidua, własności nabyte przez te osobniki, które są, że się tak wyrazimy, tylko jej żywicielami i konserwatorami, oraz jak pogodzić taki pogląd z teoryą doboru i przeobrażania się gatunków?

Co się tyczy pierwszego, to Weissman jest przekonania, że takie tylko cechy zostają przeniesionemi na następną generacyę, które już w zarodku, jako zawiązki i skłonności, istnieją, czyli, że własności nabyte nie są dziedzicznemi. Wypływa to logicznie z wyżej wyłuszczonych jego poglądów. Gdyż, jeżeli plazma zarodkowa w każdem indywiduum nie tworzy się na nowo, lecz z określonym już składem molekularnym przechodzi z pokolenia na pokolenie, to istotne cechy każdego, powstającego z niej osobnika, są już z góry zadecydowane, a wpływ organizmu, który plazmę żywi, zmian w niej nie wywołuje. Są dane do przypuszczenia, że posiada ona dużą siłę odporną, a jakkolwiek te zewnętrzne warunki, które oddziaływają na całość organizmu, wpływ jakiś wywierać mogą i na układ cząsteczkowy plazmy zarodkowej, to jednak nie prowadzą one do wytworzenia nowych dziedzicznych rysów. Otoczenie, lepsze lub gorsze odżywianie się itp. powodują silniejszy lub słabszy rozwój danego indywiduum; w plazmie też tylko ilościowe zmiany takie warunki sprowadzić mogą. Trzeba również na to zwrócić uwagę, że wpływy zewnętrzne, jako bardzo zmienne, często same się nawzajem unicestwiają. W każdym razie wywołują one tylko cechy przejściowe, tj. ginące wraz z osobnikiem, który je nabył, lecz nie dziedziczne. Potomstwo zdolnego fortepianisty z takim samym mozołem uczyć się musi muzyki, jak jego rodziciel; nie odziedzicza ono sztuki grania na fortepianie, lecz przechodzi na nie to tylko, co już ojciec, będąc dzieckiem posiadał, tj. zręczność w palcach i zmysł muzykalny. Rauber zebrał niedawno dowody na to, że członkowie nawet cywilizowanych społeczeństw, jeśli wychowują się w absolutnem odosobnieniu, nie posiadają mowy; zdolność mówienia albowiem jest także cechą nabytą i przejściową. Potwierdzają również tę zasadę doświadczenia z dziedziny flory. Gdy Nägeli kilka roślin alpejskich przeniósł do ogrodu botanicznego w Monachium, to zmieniły się one wkrótce do niepoznania: z małych stały się bardzo dużemi, rozgałęziły się bujnie i zyskały wielką ilość kwiatów; kiedy je atoli przesadzono znowu na ziemię bardziej chudą, powracały szybko do swojej pierwotnej formy; następowało to nawet wówczas, gdy już kilka ich generacyj poprzednio na tłustej ziemi ogrodowej wyhodowano.

(D. n.)

TEORYA CEZARA LOMBROSO.

II.

Mizoneizm (wstręt ku nowatorstwu).

Bret Harte opowiada o psie, którego doprowadzały do wściekłości wszelkie nowatorstwa, jak gaz, telegrafy, koleje żelazne; stawał przed każdym nowowbitym palem lub kiedy przebiegał pociąg kolejowy i szczekał, co sił starczyło. Wiadomo też, że psy ujadają zawsze i to bez potrzeby, na widok każdej fury, przejeżdżającej przez milczącą wioskę. Opowiadano o koniach wspinających się dębem, kiedy nawet dobrze znany im jeździec podejdzie w nowym ubiorze.

W *Revue scientifique* znajdujemy sporą wiązankę faktów, zebranych w zamiarze wykazania tego, jak zwierzęta zachowują się wobec nieznanych sobie przedmiotów. Ułaskawiona małpa, w ubiorze ludzkim, wymyka się swemu posiadaczowi i powraca w góry rodzinne, lecz dawni towarzysze spoglądają na nią z przerażeniem i chronią się — właśnie wskutek takiego przyodziewku. Varigny opowiada o kocie, który widząc poczynione w salonie zmiany i wnoszone nowe meble i dywany, wskutek przygotowań do balu, znalazł się w rozpaczy; chodził to za jednym, to za drugim członkiem rodziny, jakby prosił wyjaśnienia, a zarazem zaprzestania zmian dalszych. Malarz pewien, chcąc ukarać kurę, która właziła do ogródka, pomalował ją na zielono; kiedy tak zmieniona powróciła do swej zwykłej kompanii, przywitały ją z wszystkich stron uderzenia dziobów; widocznem było, że stanowić zaczęła przedmiot postrachu najżywszego i dopiero po dwu tygodniach, kiedy malowanie zeszło z piór najzupełniej, była traktowana w dawny przyjacielski sposób. Romanes przeprowadził nawet doświadczenia stosowne. Pies bawił się kością; zabrał ją od niego i przywiązał na sznurku w ten sposób, że bujała się przed samemi jego oczami; lecz psiak zerwał się przerażony i usunął się jaknajdalej; trwało to, póki kość odbywała swe ruchy.

Wszystkie te przykłady uobecniają istnienie u kręgowców instynktownej bojaźni na widok rzeczy nieznanych i chęci unikania wszelkich nowych wrażeń. Zachowanie się takie spostrzegamy też wśród ludzi, zwłaszcza u ras dzikich i w wieku dziecięcym. Lombroso podaje, że bywał wzywany do dzieci, szczególniej 7—12 miesięcznych, chorych z przelęknienia, wywołanego często nader błahemi przyczynami: widokiem nieznanego brodatego mężczyzny, nowem pudłem lub statuetką, wniesionemi do pokoju itd. Tym samym wstrętem organizmu ku wrażeniom nowym można wytłomaczyć sobie i to zjawisko, że malcy, usłyszawszy raz jeden gadkę jakąś, żądają, ażeby ją powtarzano w tych samych wyrażeniach, a skoro spostrzegą

---

raz znosić? Precz z miłością, która niema śmierci za przyprawę!

Julja. Oh! jak sprawiedliwie mówisz! To byłby sen straszliwy. Zapewnij mię, że się nic podobnego nie zdarzyło nigdy. Co za piekło, gdyby przyszło zmartwychwstać! To niemożebne, czyż nie prawda? Pod tym jedynie warunkiem, czy pojmujesz, oddałam się tobie. Życie byłoby teraz zgrozą.

D'Arcy. Bądź spokojną, droga przyjaciółko. Prawa natury zmieniłyby się rychlej, niżli wola tych tyranów.

(Słychać turkot. Wrota się otwierają. Wóz podjeżdża aż pod sam próg. Odgłos bębna. Wszyscy tłoczą się koło wozu. Julia i d'Arcy trzymają się za ręce).

Jac. (z listą mających iść na stracenie): Piotr Paweł de la Ferté, Armand de Torcy, Jakób de Morienval, Julja de Mauriac, Andrzej Hyacynt de la Riviere, Paweł Antoni d'Arcy.

(Julia rzuca się, by wejść na wóz z nim).

Jac. Wstrzymaj się obywatelko. Nie wchodzi się tutaj bez pozwolenia. Przyjdzie na panią kolej. (Kończy listę): Wincenty Delacroix, Julia Géraud, Jeoffroi de la Chesnaie. Oto wszyscy. (Wchodzi na stopień, by zobaczyć, czy wszyscy są na swoich miejscach).

Jul. (usilując wejść). Moje imię... imię moje powinno tam być.

Jac. Jak się nazywasz, obywatelko?

Jul. Konstancya Julia de Saint Florent.

Jac. Tego nazwiska nie mamy tutaj.

Jul. Ależ ja zostałam skazaną wczoraj. Mam prawo być ściętą dzisiaj.

Jac. Nie tak prędko. Można być gilotynowanym tylko, gdy kolej nadeszła.

Jul. Dajcie mi wejść. Poznają błąd.

Jac. Niepodobna. Trzeba trzymać się porządku. Na każdego przyjdzie kolej. Tej obywatelce coś bardzo się spieszy. Uspokój ją, Guillaumin (zamyka furtę a potem głosem silnym i suchym): Odejdź pani!

(Wóz rusza. Julia i d'Arcy zamieniają ostatnie spojrzenie. Ją siłą odrywają od wozu. Pada bezsilna na ławę).

* *

Jul (nawpół przytomna). O zgrozo, straszliwa rzeczywistość! Skazana na życie!.. Nie módz umrzeć!... Żyć we wzgardzie dla samej siebie. O okrutny i drogi przyjacielu, ty umrzesz bezemnie! (Odzyskuje pozorny spokój. Do Jacquemeta). A więc, obywatelu, jestem na liście jutrzejszej?

Jac. Nic nie wiemy, pani. Nam nie przysyłają list zawczasu. To, co się z panią stało, nie przytrafiło się jeszcze nikomu. Czy nie prawda Guillaumin? Cóż ty o tem myślisz?

Guil. Doprawdy, obywatelko, nie chciałbym cię przedwcześnie łudzić nadziejami, może zwodnemi. Byłoby to bardzo podłe; bo widzisz pani, gdy się spakowało manatki na drugi świat — to nie trudno je rozwiązać, zanim się nabrało pewności, że się tam nie pojedzie. A jednak mialbym zasadę powiedzieć ci, byś nie rozpaczała. Uważasz pani, mnie się coś zdaje, że zostałaś ułaskawioną. Wierzę w to, zwłaszcza od chwili, gdym się dowiedział o twojem nazwisku. Czyś nie uważał, Jacquemet, że nazwisko obywatelki było wymazane z listy, którą nam dziś przysłano z kancelaryi sądowej. Nie dla tego, by brakło miejsca w furgonie — dziś było tam więcej niż kiedykolwiek. Ej! ja coś tutaj podejrzewam.

Jac. Ma racyę. A zatem upiekło ci się obywatelko. Będziesz chyba jedyna, która żywcem wydostaje się z tego posępnego domu.

Jul. (z jękiem) Boże! (Oddala się pół szalona i pada na krzesło w głębi stojące).

Jac. To dopiero szczególna kobieta. Nie może się pocieszyć, że nie została ściętą.

Guil. Bywają między niemi dziwaczki, kochany Jacquemecie. (Odchodzą).

*
* *

Jul. (siedzi, zakrywając twarz welonem). Życie hańby po życiu obowiązku i szacunku dla siebie. I ustawicznie z czeluści nocy oko zagasłe nieszczęsnego przyjaciela wola mnie. Nie, nie, musiała tam zajść pomyłka w oddawaniu rozkazów. Jutro przyjdzie na mnie kolej. Tak byłoby mi przyjemnie odbyć z nim tę okropną przeprawę; wejść z nim razem na krwawy pomost. Byłoby to za wiele szczęścia. Los nie lubi zsyłać dwóch rozkoszy, jak ta, której zaznałam tej nocy. Moje imię wykreślone!..

N. H.

zmianę najdrobniejszą, gniewają się lub płaczą. Varigny opowiada o dwuletnim chłopczyku, swym ulubieńcu, że kiedy wskutek bólu w nodze musiał mu ją obłożyć watą i zwiększyć przez to jej szerokość, malec zoczywszy to, z przerażeniem uciekał; po wyzdrowieniu już krzyczał za każdą próbą zbliżenia się ku niemu i dopiero po upływie 3 miesięcy, lecz w obecności kogoś trzeciego, zgadzał się podawać rękę, wszelako z odcieniem niedowierzania, bełkocąc przytem i wskazując, że noga Varigny'ego przybrała kształty dawne. Podobnież postępują i ludy pierwotne: przybyszów np. uważają zawsze za intruzów i wrogów.

Romanes w przytoczonem doświadczeniu widzi potwierdzenie tego, że nawet zwierzęta posiadają już spory zasób wyobrażeń czyli „poczucia tajemniczości" (jak się wyraża), prowadzącego wśród ludzi do poczęcia roligii. Jest to błąd. Zachowanie się psa wobec nowego wyglądu ogryzania kości, przestrach, doznawany na widok przyodzianej małpy i pomalowanej kury, przez dawnych towarzyszy, zalęknienie niemowląt na widok nowych przedmiotów, wszystko to zgoła nie dowodzi uposażenia tych istot w wyobraźnię, dzięki której przypuszczać miały w nieznanym przedmiocie jakieś wieloliczne jeszcze a szkodliwe być może oddziaływania; przeciwnie jest to raczej oznaką braku wyobraźni, co nie pozwala umysłom krótkowidzącym i słabym pojąć zmiany zaszłej w otoczeniu — bez potężnego wysiłku i płynącego stąd bólu. Organizm usiłuje więc uniknąć cierpienia przez zwykły tryb postępowania, w razach takich — przez ucieczkę i krzyki. Zresztą zachowanie się względem nowin bywa różne, stosownie do stopnia zmian przez nie wywoływanych. Kiedy chętnie patrzymy na wymysły mody, na drobne jakieś odkrycie lub ulepszenie, nielitościwie wrogo występujemy względem wynalazków i zmian poważniejszych.

Lombroso wyjaśnia taką różnicę w zachowaniu się organizmu względem mniejszych i większych zmian na przykładzie z psychiatryi. Widzimy kobietę wykształconą i inteligentną niegdyś, lecz cierpiącą obecnie na obłęd zwątpienia. Zasadza się on na tem, że pierwsze wrażenie wzrokowe, które chora otrzymywała, wychodząc z domu, pozostawało niewzruszenie przez dzień cały i ćmiło wszystkie późniejsze; jeśli pierwszym przedmiotem był muł, wtedy wszystkie następne przedstawiały się jej z obliczem muła, a takiego przywidzenia chora nie mogła się pozbyć aż do dnia następnego. Gniewało to ją bardzo, zwłaszcza w odniesieniu do ukochanej córeczki, którą rozpoznawała i uświadomiała sobie, oglądała jednakże pod postacią rzeczy widzianej rankiem; doprowadzało to chorą aż do pragnienia zabicia siebie lub tego dziewczęcia. Pomieszanie wrażeń wzrokowych dochodziło jeszcze do jaskrawszego napięcia, kiedy oglądane rzeczy były nieznanemi — chora ani nie mogła pojąć swego błędu, ani oryentować się. Oczywiście osoba taka w żaden sposób nie mogłaby podróżować po nieznanej okolicy, gdyż zamieszanie w umyśle i wypływający stąd przestrach wywołałby na pewno targnięcie się na własne życie. Przykład ten, przedstawiający niektóre strony mizoneizmu w przesadzonem zolbrzymieniu, pozwala wniknąć nieco głębiej w mechanizm warunków, decydujących o zachowaniu się kręgowców względem wszelkich nowych przedmiotów. Owóż, u umysłów słabych, na niskim stopniu rozwoju, jakiekolwiek wrażenie, będąc raz przyswojone, staje na zawadzie zauważeniu i przyswojeniu nowych, szczególnie jeśli różnica pomiędzy tamtem a temi jest nader znaczną, tak że niepodobna znaleźć pomostu, któryby je powiązał, lub jeśli przejście to, jakkolwiek możliwe, odbyć się może z wysiłkiem, ból wyzywającym. Skoro więc przyswajamy nowe wrażenia, czynimy to przez sprowadzenia ich, o ile się da, do dawnych, już znanych. Na to rzucają światło badania lingwistyczne: dla chińczyków koń jest to „wielki pies," dla niektórych ludów słoń to „byk z zębami."

Wstręt taki ku nowym wrażeniom stanowi bardzo ważny czynnik w rozwoju ludzkości. Przedewszystkiem, w tej to tendencyi organizmu znajduje wyjaśnienie zachowawczość ludzka. Chłop lub łobuz szyderstwem i nienawiścią wita niewidziany przedtem sposób ubierania się; to samo uczucie wstrętu wśród zapadłej prowincyi sprowadza trzymanie się kostiumów z czasów niepamiętnych, tak że zbiór używanych tu strojów stanowiłby podobiznę mód z wszystkich czasów ubiegłych. Zachowawczość taka obejmuje wszystkie dziedziny; kiedy rząd włoski rozesłał nowy cyrkularz względem włóczęgowstwa, rada municypalna jednego miasteczka piemonckiego przyjęła go z politowaniem: „tak postępowali nasi dziadowie i ojcowie i my sami; skądże przyszła do głowy rządowi myśl, że zwyczaj ten porzucimy?" Odblask tego znachodzimy w świętem prawodawstwie hebrajczyków i hindusów; Lykurg zabronił zwiedzania obczyzny, Plato żądał wykluczenia z pod prawa obywateli, udających się na studyowanie prawa rzymskiego. Nawet ludzie nauki dają potwierdzenia tej dążności zachowawczej, przyklaskując odkryciu drobnego jakiegoś szczególiku, lecz z nienawiścią występując przeciwko ważniejszemu. Oczywista, że u ludów dzikich, wśród których działalność psychiczna jest bez porównania słabszą, reakcya przeciwko nowinkom będzie jeszcze znaczniejszą, a prześladowanie nowatorów zaciekłejszem.

Wogóle, jak zwierzęta ucieczką oddziaływają na zjawiska nieznane, tak również człowiek mści się na wynalazcach to prawodawstwem i prześladowaniem, to bronią szyderstw. Więc jak wobec tego dokonywał się postęp, spostrzegany w dziejach? Owóż pochód cywilizacyjny zawdzięcza wszystko dwu okolicznościom, mianowicie ciężkim warunkom bytu, zmuszającym człowieka do przyjęcia nowatorstw, gdyż tylko tym trybem można było uniknąć cierpień jeszcze dotkliwszych, niż zwykły wstręt ku nowemu i powtóre, pojawianiu się wyjątkowych osobistości, napół geniuszów, napół waryatów, którzy, wskutek anomalii organicznej, władając wygórowanymi popędami altruistycznymi i chorobliwym zasobem energii nerwowej, uprzedzali bieg wypadków i zdążali ku zmianom, bez troski o własną korzyść, z pogardą dla obojętności ze strony ogółu, przelewem krwi mszczącej się na burzycielach swego spokoju. Rola ludzi takich ta sama, co owadów w zapładnianiu roślin: przelatując z kwiatka na kwiatek, przenoszą z sobą pyłek nasienny i zapładniają nieruchome rośliny.

Zwłaszcza, roztrząsając genezę i dzieje religii, nie winniśmy spuszczać z uwagi tego braku wyobraźni, w następstwie którego wykwita wstręt ku nowatorstwu. Wskutek nieobeczności wyobraźni lub słabego jej rozwoju, tylko zjawiska niecodzienne uderzać mogą umysł dzikiego i właśnie dlatego przybrał je w szatę nadprzyrodzoności, czego dowodów dostarczyć może w obfitości lingwistyka. Słowo „huaca" u peruwiańczyków oznaczało: świętość, boskość, każdą świątynię i wyrocznię, wielkiego męża, drzewo wysokie, kobietę rodzącą bliźnięta, źródło gorące, potwora z siedmioma palcami, górę wyniosłą. I tylko wskutek takiej obawy względem rzeczy „boskich" tj, nieznanych (a „nieznanemi" były rzeczy niezwykłe) możebny był jaki taki krok naprzód w pierwocinach społecznych. Jedynie obłąkaniec zdobywał się na zachcianki nowatorskie, a ponieważ właśnie tacy ludzie cieszą się mirem i poważaniem u dzikich dzięki postrachowi, jaki wzniecają, zatem i wprowadzonym przez nich zmianom poddawano się z konieczności.

Teraz, gdy wiemy, że zachowawczość spoczywa w naturze każdego normalnego człowieka, przyjrzyjmy się jednej z tych śmiałych osobistości, które wstrząsają spokojem innych i stargawszy więzy zachowawcze swej istoty, śmiało podążają ku nowemu a nieznanemu.

Lud. Krzyw.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 29 października.

Nowy kierunek.—Literacki manifest „decadentów."— Symbolizm jako nowe hasło tej szkoły. — Wyznanie wiary. — Kierunki dotychczasowe i symbolizm. — Doktryna nowej szkoły. — Poezya i powieść.

Na bruku paryskim rodzi się nowy literacki kierunek. Pierwsze jaskółki, zwiastujące tę wiosnę, przybierały miano „upadłych" (les décadents) i z dumą drapowały się w śmiertelny całun upadku. Dziś, gdy rozwidniały już nieco pierwsze brzaski tego literackiego świtania szkoła wywiesza nowe hasło — symbolizm.

Świeżo właśnie jeden z wybitniejszych przedstawicieli rodzącego się prądu, autor *Syrtes* i *Cantilènes*, Jan Moréas, poeta, grek z pochodzenia, ogłosił „literacki manifest," w którym stara się wyjaśnić dążenia nowej szkoły i zagadkowy ów „symbolizm" wytłomaczyć. Z odezwą tą zapoznamy bliżej czytelników naszych. Niech „upadli" wyświetlą nam sami przedzgonne oznaki literackiego konania i sami niech zagrają pobudkę zmartwychwstania. W świecie bowiem nie ma nicości a rozkład śmierci jest tylko odrodzeniem.

Jak wszelki rodzaj sztuki, tak i literatura —powiada Moréas—rozwijając się, ulega kołowemu pochodowi z ściśle określonymi nawrotami, które wnoszą zmiany, właściwe biegowi czasu i przeobrażeniu otoczenia. Zbytecznem prawie zaznaczać, że każde nowe ogniwo styka się bezpośrednio ze starszą zgrzybiałością, z końcowem wygasaniem szkoły poprzedzającej. Dwa przykłady wystarczą: Ronsard tryumfuje nad niemocą ostatnich naśladowców Marot'a; romantyzm zapala swe ognie na ruinach klasycyzmu, źle strzeżonych przez Kazimierza Delavigne'a i Stefana Jouy. Każdy bowiem przejaw w życiu sztuki dochodzi w sposób nieunikniony do wyczerpania się, zwyrodnienia — a wtedy od kopii do kopii, od naśladownictwa do naśladownictwa, co było ongi pełne soków ożywczych i świeżości, usycha, kruszy się; co było nowem i samorodnem, staje się wymuszonem i pospolitem.

I tak, romantyzm, który uderzał początkowo w donośny dzwon buntu, po głośnych dniach sławy i walki utracił swą siłę i wdzięk, zrzekł się swych bohaterskich porywów, stał się porządnym, sceptycznym i pełnym zdrowego rozsądku; w szacownym, lecz bezpłodnym wysiłku „parnasyjczyków" spodziewał się odnowić a wreszcie dał się wydziedziczyć przez naturalizm, któremu — powiada Moréas — przyznać można na seryo jedną tylko zasługę usprawiedliwionego, lecz źle skierowanego protestu przeciwko mdłej czczości niektórych modnych podówczas powieściopisarzy.

Nowy przejaw sztuki był więc oczekiwany, niezbędny, nieunikniony. Objaw ten, wysiadywany oddawna, wykluł się właśnie i wzrastający ów z każdym dniem rozwój francuskiego piśmiennictwa, ta

ewolucya, którą zbyt sumaryczni sędziowie ochrzcili, przez niewytłomaczoną sprzeczność, nazwą upadku— nie zachwieją bynajmniej ani anodynowe facecye wesołych dziennikarzów, ani niesłuszne zarzuty krytyków poważnych, ani zły humor publiczności, zaniepokojonej w swem owczem zaniedbaniu. Proszę jednak zauważyć, że literatury upadające istotnie są lękliwe, niewolnicze, bezbarwne, ubogie treścią i formą — za przykład mogą służyć tragedye Voltaire'a. Cóż zaś zarzucają nowej szkole? Nadużycie okazałości, dziwaczność przenośni, nowe słownictwo, w którem harmonie splatają się z barwami i śmiałymi rysami: oznaka to wszelkiego odrodzenia.

Proponowaliśmy już — mówi Moréas— nazwę *symbolizmu*, jako jedynie mogącą oznaczać racyonalne dążenia spółczesnego ducha twórczego. Miano to winno być utrzymanem.

Powiedziałem — ciągnie dalej rzecznik młodej szkoły — że rozwój sztuki przedstawia złożony nader proces cykliczny; śledząc też pilnie za rodowodem nowej szkoły, cofnąć się trzeba aż do niektórych poematów Alfreda de Vigny, aż do Shakespeare'a, aż do mistyków i dalej jeszcze— w głąb' wieków średnich. Pytania te wymagałyby całego tomu wyjaśnień; powiemy tylko, że Karol Baudelaire winien być uważany za istotnego poprzednika ruchu obecnego. Stefan Mallarmé obdarzył go zmysłem tajemniczości i niepochwytności; Paweł Verlaine zwycięzko pokonał najego cześć trudności wierszowania, usunięte już w znacznym stopniu dzięki misternemu talentowi Teodora de Banville. Do szczytowej atoli doskonałości daleko jeszcze: nowych szermierzy czeka praca uparta i niezmordowana.

Po tych wyjaśnieniach wstępnych Moréas usiłuje dać bliższe, teoretyczne określenie symbolizmu. Nie wyłonił się on jednak widocznie dotąd z pierwotnej mgławicy, nie skrystalizował się, określenia te bowiem są mętne jeszcze i niepewne. I tu jednak znajdziemy niejeden punkt ustalony i dowód, że młoda szkoła pracowicie poszukuje swych nowych podstaw.

Symbolizm — mówi Moréas — wrogim jest szkolarstwu, deklamacyi, fałszywej czułostkowości, objektywnej czysto opisowości. Poezya symboliczna stara się odziać ideę w formę zmysłową, którąby jednak nie była samej sobie celem, lecz służąc do wyrażenia jej, pozostała artystycznie pochwytną. Idea znowu nie powinna być pozbawioną bogatej szaty i porównań namacalnych — znamienna bowiem cecha sztuki symbolicznej leży w tem, ażeby nie dochodzić nigdy do ujęcia idei samej w sobie. Tak więc w sztuce tej: obrazy natury, czyny ludzkie, wszystkie zjawiska dotykalne nie zdolałyby się wyrazić same przez się. Wobec oskarżenia o niejasność tej dogmatyki, Moréas powołuje się na utwory Pindara, Danta, Shakespeare'a, Goethego, które również uważano w swym czasie za niezrozumiałe.

Ażeby odtworzyć dokładnie jej syntezę, sztuce symbolicznej — mówi dalej — potrzeba stylu typowego i złożonego: bogatego słownictwa, okresów zataczających się w arkady, znaczących pleonazmów, tajemniczych elips, rzutów śmiałych i różnokształtnych — dobrego wreszcie języka, odrestaurowanego i zmodernizowanego, barwnego i soczystego z czasów przed Boileau, języka Rabelais'go, Filipa de Commines, de Villon'a, de Rutebeuf'a i wielu innych autorów, władających dzielnie ostremi strzałami wyrazów i zwrotów.

W rytmice symboliczy zapowiadają również znaczne zmiany. Dla zaznaczenia ich Moréas, w toku swego manifestu, wyprowadza na scenę mistrza nowoczesnej poezyi francuskiej, Teodora de Banville, autora cenionego podręcznika poetyckiego p. t. *Le traité de poésie française* i każe mu w zręcznym dyalogu bronić nowej szkoły przed zarzutami przeciwnika „dekadentyzmu.“

Przeciwnik ów zarzuca naprzód symbolistom przesadną emfazę i nierozwikłany „galimatias“ słów, wyrażeń i myśli — na co odpowiada Banville, że nie ma w tem jeszcze wielkiego nieszczęścia; literaturę bowiem zabija nie emfaza i zbytek ozdób, lecz płaskość pospolita.

Przeciwnik twierdzi dalej, że symboliści gwałcą cezurę, na co odpowiada znowu rzekomy obrońca, że jeszcze w r. 1844 Wilhelm Tenint w wydanej przez siebie prozodyi wygłosił zasadę, że wiersze, zwane aleksandrynami, pozwalają na dwanaście różnych kombinacyj, poczynając od wiersza, który ma cezurę po pierwszej, kończąc zaś na takim, który ma ją po jedenastej zgłosce. Wynika z tego, że cezura mieścić się może w aleksandrynach na jakiejkolwiekbądź sylabie. Tenże autor przyznał również możność dowolnego przemieszczania cezury w wierszach sześcio, siedmio, ośmio, dziewięcio i dziesięciozgłoskowych. Idźmy dalej i przyjmijmy zasadę, że w rzeczach tych ucho jedynie rozstrzygać może. Giniemy zwykle nie przez zbytnią śmiałość, lecz przez brak zbytniej śmiałości. Z kolei przeciwnik gorszy się tem, że symboliści nie szanują „l'alternance des rimes“ i pozwalają na wet „hiatus“ — na co znowu odpowiada de Banville, że hiatus, dwugłoska tworząca sylabę i wiele innych rzeczy, które zostały zakazane, jak dowolne użycie rymów męskich i żeńskich, dają genialnemu poecie tysiące środków urozmaiconych, efektownych i niewyczerpanych. Dla posługiwania się jednak nimi trzeba mieć ucho muzykalne, przy pomocy zaś reguł najmierniejsi pisarze robić mogą znośne wiersze. Kto wygrał najwięcej na ujęciu poezyi w zasady i prawidła?

Poeci lichego gatunku. Oni tylko!

— Zdaje mi się jednak—powiada oponent, że rewolucya romantyczna...

— Romantyzm był rewolucyą niezupełną — przerywa de Banville. Co za szkoda, że Wiktor Hugo, ten zwycięzki Herkules, nie był rewolucyonistą zupełnym i pozwolił żyć niektórym potwornościom, które powołany był wytępić ogniem i mieczem!

— Wszelkie dalsze zmiany toć to szaleństwo! Naśladowanie Wiktora Hugo — oto zbawczy środek dla poezyi francuskiej, wołą zgorszony przeciwnik.

— Gdy Wiktor Hugo wyzwolił wiersz— ciągnie dalej autor *Traktatu* o poezyi francuskiej — można było przypuszczać, że poeci, którzy po nim nastąpią, nauczeni jego przykładem, zechcą być niezależni i słuchać będą tylko swego wewnętrznego głosu. Tak wielkiem jest jednak zamiłowanie niewolnictwa, że nowi poeci kopiowali i naśladowali bez końca formy utworzone przez mistrza romantyzmu. Wpadliśmy więc z klasycznego niewolnictwa w romantyczne. Miejmyż odwagę oddychać własnemi piersiami, nie schylajmy poetyckiego karku pod jarzmo!

Na końcu tego dyalogu niewidzialna *Erato* szepcze do ucha mistrzowi Banvillowi wymówkę, że on, autor traktatu o poetyce, zaniedbał zabrać głosu w obronie nowej szkoły — wyciągniono go tedy na scenę przemocą.

Tyle o poezyi. Co się tyczy prozy, powieści, noweli, opowiadań, szkiców itd., to rozwijają się one — powiada Moréas— w podobny sposób, jak poezya. Przyczyniają się do tego żywioły napozór różnorodne. Stendhal wniósł tu swą przejrzystą psychologię, Balzak swą przenikliwość, Flaubert spadki swych zdań o pięknych arkadach, Edmund de Goncourt swój nowoczesny, wrażliwy impresyonizm.

Pojęcie nowoczesnej powieści — mówi autor dalej — jest wielokształtnem (polimorfnem). Raz widzimy osobistość poruszającą się w otoczeniu, przekształconem przez jej widzenia i temperament; w przekształceniu tem tkwi właściwy realizm. To znowu wysuwają się naprzód mary bezładne, dając widowisko czynów i działań niepełnych. Czasami występują wyraźnie objawy woli, któreześrodkowywują się ku pewnemu określonemu celowi; to znowu majaczeją przed nami mistyczne widziadła... Zadaniem powieści symbolicznej i impresyonistycznej ma być „subjektywne przekształcenie,“ według zasady, że sztuka w zjawiskach objektywnych widzieć może tylko punkt wyjścia dla swych własnych wytworów...

Oto pierwsze zarysy nowej teoryi artystycznej. Występuje już ona w pełnej zbroi do walki — przedewszystkiem z naturalizmem, który jest fazą artystyczną, poprzedzającą bezpośrednio rodzący się kierunek. Nic dziwnego, że młode niemowlę, które w kolebce już chce łeb urwać hydrze, nie ocenia dostatecznie wielkich i niezaprzeczonych zasług naturalizmu w sztuce; zaprzeczyć się jednak nie da, że on jest ciasnym po swojemu, wybitniejsi zaś naturaliści jak Zola, Goncourtowie, Daudet, Guy de Maupassant przebili się przez powijaki doktryny mocą swego talentu. O Zoli, torującym sobie nowe drogi potężną siłą twórczą, powiedzieć nie można, żeby schylił się ku upadkowi, cały jednak legion naturalistycznych naśladowców ugrzązł w bagienku objawów cielesnych i zmysłowych, nie rozwinąwszy szeroko tych zadatków, jakie tkwiły w założeniach naturalizmu. To we Francyi; w innych krajach bowiem naturalizm jest świeżym jeszcze zaczynem, który poruszyć może drzemiące pierwiastki miejscowe, przyczyniając się tem do wywołania nowych form i dążeń artystycznych.

Wracając do symbolizmu, zaznaczamy tedy, że teoretycznie nie wyłonił się on jeszcze dostatecznie z mgławicy zasadniczych swych dążeń, życiowo zaś nie wydał jeszcze żadnego potężnego utworu. Prace, ochrzczone dotąd mianem „decadentyzmu,“ znamionuje dziwaczność formy, język powikłany, mnóstwo nowych lub odgrzebanych wyrazów i wyrażeń obok niejasności myśli i chaotycznego układu. Symbolizm szuka jeszcze dla siebie formy i treści.

Nowy kierunek zyskuje jednak coraz szersze koło zwolenników. Rozszerzający się coraz bardziej w młodszej literaturze francuskiej pesymizm i mistycyzm zdają się być mierzwą przydatną pod nowy zasiew. Co na tych niwach wyrośnie, blizka zapewne przyszłość pokaże.

Wychodzi obecnie w Paryżu cztery pisma, głoszące zasady nowej literackiej ewangelii i dające przytułek pierwocinom symbolistycznych talentów. Tytuły ich: *Le Décadent*, *La Décadence*, *Le Scapin*, *La Vogue*. Niektóre z nich wywiesiły program publicystyczny, zbliżony do wymagań socyalizmu.

E. Przew.

RENAN W DRAMACIE.

II.

Za głównym wątkiem utworu wypadki toczą się już wolniej i dadzą się zawrzeć w kilku słowach.

Po roku spotykamy Julię z dziecięciem, sprzedającą łakocie w parku Luksemburskim. Nędza popchnęła ją do tego, lecz nie ukróciła godności jej i dumy, to też kumoszki szanują sąsiadkę niepomału, zwęszyszy w niej „wielką damę.“ W istocie

Miała w swych oczach dziewica ta grecka
Powagę królowej i niewinność dziecka.

Wiała od niej taka wytworność ducha i ciała, iż nikt nie śmiałby rzucać sieci podejrzenia na jej obyczaje.

W powietrzu wiosna. Wszystko oddycha świeżością i aromatem zieleni. Snują się gromady tłumu, z rozpogodzonemi czołami; nawałnica przeszła, łzy lać się strumieniami, krew poić ziemię—przestały—nie słychać już jęków i płaczów. Spokój i zadowolenie powróciły. W jednej z grup, żywo rozprawiających o nowinach dnia, stoi wybawca ksieni z Jouarre; — kupując pierniki, spostrzega ją i poznaje mimo skromnej sukni. Z uczuciem, spotęgowanem przez długą tęsknotę, podczas której napróżno szukał ukochanej — zwraca się do niej i ofiaruje swe serce i rękę, pragnie przywołać do dawnego szczęśliwego bytu, ale i teraz, jak dawniej, szlachetny zapał zostaje odepchnięty. „Powinnam być umarłą, miej mię pan za taką.“ „Litości błagam, na tę dłoń, którą do ciebie wyciągam, przysięgam, że zasłużyłam na uczucie twoje, ale nie goń za mną.“

Mija lat siedm.

U boku zacnego brata siedzi Julia w przepysznym ogrodzie, zadumana. Córeczka jej biega jak motyl po murawie i uczy się nazw kwiatów — od czasu do czasu zagadując matkę szczebiotem, w którym pyta z goryczą: „dla czego nie ma braciszka, jak Ludwisia.“ Margrabia de Saint-Florent stara się wyrwać siostrę z zadumy i strapienia, wykłada jej prawdy moralności społecznej nie uznając racyi tej srogiej pokuty i umartwień. Pragnąłby widzieć Julię oddaną miłości, którą od tak dawna pała ku niej dzielny wojak, dziś już przyozdobiony szlifami jeneralskiemi. Ksieni odpłaca mu wzajemnością, ale nadto surowa, wstydzi się swej przeszłości. Gdy jednak słyszy, że rycerz La Fresnais wie już o niej i w czci swej nietylko że nie osłabł, ale ją podwoił, gdy układ zawarty przez pierwszego konsula z Rzymem, z góry daje przebaczenie podobnym grzesznicom, gdy znika obawa, „że kościół odmówi ślubu ksieni z Jouarre“ — biedna kobieta przyjmuje hołd oblubieńca. Będzie to dla niej spokojną przystanią po burzach i klęskach dni przebytych. „Widzieliśmy — powiada — za wiele rzeczy, by módz rozpocząć na nowo życie z dziecięcą pogodą, która jest udziałem prostaczków. „Boję się, że będziemy jak owi starożytni, co to ujrzawszy straszliwe widma pewnych tajemnic, żyli dalej, ale śmiać się nie mogli...“ „lecz wynieśliśmy z losów naszych to przekonanie, że zawody są także potrzebne do szczęścia.“ „Dla dusz, jak nasze, miłość nie kroczy bez obowiązków.“ „Odżyłam razem z Francyą...“ „Połączmy się, by ją wskrzesić ostatecznie.“

Szczyt idealizmu!—zawoła niejeden czytelnik. Idealizm posunięty do absurdu — powie krytyk literatury nadobnej — a jeśli z punktu widzenia swej sztuki sądzić zechce dramat Renana, będzie miał słuszność. Gdzież bowiem kto widział same cnoty chodzące, same wcielenia ofiary, bohaterstwa, zrzygnowanej miłości, iście chrześciańskiej pokory? W istocie nie widziałem ich i ja i żaden z czytających *Ksienię z Jouarre.* Nie słyszałem nigdy o uściskach, któreby dawały przedsmak nieskończoności, chociażby tonął w nich duch tak wielki i głęboki, jak Faust, o skazanych, którzyby przebaczali swym mordercom i łaknęli śmierci, nie znamy kraju, w którym piękne kobiety przywdziewałyby habit zakonny, godząc się zarazem z umartwieniami klasztoru — w którymby oficerowie trwali w miłości ośm lat!

Wszystko to prawda — ale dramat Renana jest utworem filozoficznym, więc mu wolno wyrażane idee uosabiać w wyszukany sposób; tworzy on z góry szyk bojowy pojęć i stawia naprzeciw siebie dwa szeregi zapaśników, zawczasu przeznaczywszy jednych na zwycięzonych, drugich na pobitych; napycha akcyę tendencyą. Nie chodzi mu o prawdę psychologiczną i ścisłość naturalisty, działa abstrakcyami, które są wyższe nad wszelkie reguły tworzenia, dopasowywa życie do myśli przewodniej, a nie odwrotnie. Jeśli to zważymy, wypadnie, że Renan nietylko nie przekroczył granic trzeźwości, ale, owszem, za mało skorzystał z przywilejów filozofa i dzięki niesłychanemu wyrobieniu artystycznemu, zdołał nawet wymyślić kilka niezłych efektów. Scena miłosna w celi więziennej jest pomysłem wspaniałym, zawód Julii, sprawiony jej ułaskawieniem i rozpacz z tego powodu, godne są pióra wprawnego dramaturga. Dodajmy do tego język granitowej mocy i kryształowej czystości, styl, w którym każde nieledwie zdanie mogłoby wystąpić jako aforyzm, tak jest utoczony, jędrny i pełny—a otrzymamy ciekawy i oryginalny płód literacki.

O treści, którą ukrywa ta drogocenna oprawa, trzeba powiedzieć więcej — wychodzi ona z rzędu przemijających w piśmiennictwie objawów, nad którymi i po kilku dniach przejść można do zwykłego porządku. Tyle palących spraw życia i nauki zostało w niej poruszonych, taką znamienną fazę zaznacza w rozwoju osobistym autora, że możnaby o niej pisać całe tomy. Twórca *Ksieni z Jouarre* przez usta jej i współbohaterów wygłosił całą etykę, pojętą w najszerszem znaczeniu. Odmalowawszy swój ideał, wykazał, że ludzkość dąży do szczęścia, że najwyższą rozkoszą jest miłość, że zaprzaństwo dla religijnego symbolu jest godnem litości marnotrawstwem sił.

Kult Erosa, praktykowany przez ludy wschodnie i nieśmiało broniony dzisiaj, kiedy kochanek przed pocałunkiem zmawia jeszcze ponury pacierz średniowieczny:

Dies irae, dies illa,
Solvet saecla in favilla

i z trwogą zapytuje:

Quid sum miser tum dicturus,
Quem patronum rogaturus?

dziś, powiadam, trzeba wielkiej odwagi, by głośno upomnieć się o prawa ziemskie człowieka. Czyni to Renan, niedoszły mnich, teologiczny Lewiatan, który pochłonął z kośćmi i żyłami całą mądrość ojców kościoła, najszczerszy wyznawca nauk moralnych Chrystusa. Ten mól książkowy, z głową przepełnioną wspomnieniami kolegiów, seminaryów i konfesyonałów, a sercem — wdzięcznością dla Gosselinów, Le Hirów i całej braci prawowiernej — wyśpiewał nagle gorącą odę do młodości!

Lecz posłuchajmy własnych jego słów i mogąc dać złoto, nie dawajmy czytelnikom ołowiu. „W godzinę śmierci miłość przybrałaby cechę bezwzględnej szczerości. Nieraz wyobrażam sobie, iż gdyby ludzkość była pewną, że świat przestanie istnieć we dwa lub trzy dni, miłość wybuchnęłaby ze wszystkich zakątków z potęgą szału.“ „Gdyby ludzie znaleźli się wobec zgonu rychłego a pewnego — sama tylko natura przemówiłaby; najsilniejszy z popędów, ustawicznie pętany, odzyskałby swe prawa; jeden okrzyk wyrwałby się ze wszystkich piersi, gdyby wiedziano, że można całkiem bezkarnie podejść ku drzewu, obrzuconemu tyloma przekleństwami...“ „Świat piłby pełną czarą i bez bojaźni napój miłosny, od którego skonałby z rozkoszy.“

Renan wie, że myśl ta była ciałem u pierwotnych chrześcian, pewnych, że ich jutro rozszarpią dzikie bestye — i nie dziwi się temu. „W podobnem położeniu, powłoka ziemska, która lada chwilę będzie torturowaną, przestaje istnieć...“ „wielka oswobodzicielka, śmierć, kruszy wszelkie kajdany.“

Tak więc dwaj kochankowie w więzieniu du Plessis, święcąc pieszczotą ostatnie chwile na ziemi, nie zgrzeszyli. D'Arcy rozumiał, że „dobro jest celem tego świata, a miłość skupionym wyrazem dobra. Wszystko w przyrodzie szepcze mu: kochajcie się.“ „Przypuśćmy — mówi do Julii — że trybunał daruje ci jutro życie— twoja starość zapełnioną byłaby żalem nad wzgardzoną miłością. Nieubłagana pamięć odrzuconego daru zamieniałaby się w fontannę łez.“

Dźwięczna ta struna drgała już w dawniejszych pismach Renana. W dziełach późniejszych milknie ona zagłuszona przez wyższą ideę. Gdy Sybilla Carmenta wyrywa się ku kapłanowi z Nemi wszelkiemi siłami dziewiczej namiętności, on pozwala się kochać, ale wzajemności odmawia: „kobieta miłuje mężczyznę, lecz on winien miłować Boga“ (*Prêtre de Nemi*, 60). Na ziejące pragnieniem prośby odpowiada: „siostro *w męczeństwie i powinności*, kocham cię,“ ale miłością „boskiego misyonarza,“ który wzrok duszy w zupełnie inną skierował stronę i taką głębię poświęcenia przed oczami jej otwiera, że cała oddaje się wzniosłemu jego posłannictwu.

Jeżeli jest ktoś na świecie, co miłość potępia i w karbach trzyma, to społeczeństwo, które czuje zbyt wielką jej wybujałość i boi się. Krępuje ją przeto rozmaitymi zakazami kościoła i prawa, otacza formami. „Obrządki są potrzebne człowiekowi w bycie wspólnym“ — mówi brat ksieni, ale na pustyni byłyby śmiesznością. „To, co mamy, uważamy za kamienie węgielne budowy społecznej, jest tylko dobrowolnym układem o charakterze czasowym i względnym.“

Do tych samych powodów żelazny opór Julii wobec miłości La Fresnais'go — jest nierozsądny. Biczuje ona swe sumienie niesprawiedliwie, gdyż żadnej zbrodni nie popełniła. Niewolnicze pojmowanie zwyczaju i obowiązku staje się bezdusznem, gdy traci zasadę, „gwałci granice natury ludzkiej.“ „Rozum wszechświata powinien być słuchany sercem.“

Humanitarne prądy wieku nigdy jeszcze tak dobitnie się nie odezwały, jak w *Ksieni z Jouarre*. Ten i ów kaznodzieja słowkiem natrącił o prawych rozszczeniach uczucia, ale za nic w świecie nie przyznałby im siły żywiołowej, warunkującej wszystkie inne, a z pewnością nie postawiłby jej na niebotycznym piedestale. Zapędy romantyzmu i gruchających marzycieli nie mają wielkiego głosu w rozstrzyganiu zagadnień etyki — są to przeważnie chorobliwe wysięki egzaltowanego mózgu, w rodzaju Novalisa i szkoły „niebieskiego kwiatka.“ Poważni myśliciele zrzadka zaszczycali miłość dłuższą uwagą — i to zwykle brali się do niej jak anatom do trupa — ze skalpelem psychologii w ręku. Renan pierwszy ujmuje się walecznie za krzywdą ciała ludzkiego — napadając na nią całą nawałą trafnych i głębokich spostrzeżeń, legionem prawd społecznych, tak dzielnie stwierdzonych przez krzewicieli moralności *doczesnej*.

Nam zresztą nie chodzi o miłość. Estetyczny temperament Renana wybrał sobie ją na wyrazicielkę szczęścia ziemskiego, podnosi ją do apoteozy, ale to najważniejsza, że innym pragnieniom i porywom człowieka tem samem przyznał prawo do życia i rozkwitu. Ideały, za które walczyła wielka rewolucya, chociaż kąpały się we krwi, w nim wstrętu nie budzą, a lubo przeciwnym jest manii niszczenia wszystkiego, co trąci przeszłością, raduje się tryumfem swobody, równości i braterstwa. Zapewne, baczne oko i tutaj dostrzeże plamki; Renan trochę lubi wyróżniać arystokratów ducha od plebsu, ale nie można się mu dziwić. Pamięta on brutalne napaści ultramontańskiej hołoty, nauczył się cenić tylko prawdziwą inteligencyę, a „pospolitością pogardzać.“ (*Ab. d. Jouarre*, str. 110).

Kiedyś wspominać będą wielki ten talent, jako najlepszego rozjemcę. Wysoki idealizm pozwala mu nie uciekać się do materyalizmu religii i stronić zarazem od materyalizmu filozofii. Stoi on pomiędzy nimi z różczką oliwną pokoju i nie dopuszcza płytkiej zmysłowości w pojmowaniu bóstwa i przyrody. „Ciężar tępoty zawisł nad głowami" (*Souvenirs*, XIX), a on chciałby go zdjąć. Według Renana, era ta już nadeszła i wcale go nie przestrasza. Owszem, jest coraz spokojniejszym i nie zna przeraźliwych widzeń Hartmana i Schopenhauera. Sam był kiedyś fakirem i derwiszem zarazem, gryzł się i miotał jak Pascal, ale nie wątpił jak on o prawdzie, nauce i dobru ludzkiem, nie płwa, jak on, jadem na światło, nie pogrąża się w mrok ascetyzmu. Z pogodą greka i męztwem rzymianina zbliża się ku kresowi życia, dziękując „przyczynie wszechbytu za czarowną przechadzkę, którą mu pozwoliła odbyć w krainie rzeczywistości" (*Souv.*, 378). Umrze pocieszony, „że paradoksy nowoczesne nie więcej zagrożą trwałość czci ideału — jak długowieczność naszego rodu. Niebezpieczeństwo zaczęłoby istnieć dopiero owego dnia, kiedy kobiety przestałyby być pięknemi, kwiaty rozchylać się rozkosznie, a ptaki śpiewać. W naszych strefach łagodnych, w naszych rasach zamiłowanych w rozkoszy, niebezpieczeństwo, chwała Bogu, jest dosyć odległe" *).

N. Hirszband.

*) Ażeby czytelnik mógł dowodniej poznać wartość ostatniej pracy Renana, podajemy w odcinku dzisiejszego numeru kilka z niej ustępów. *Red.*

LITERATURA POLSKA.

J. Gadomski: **Larik**, tragedya w 5 aktach. Warszawa.

Jeżeli po ogłoszeniu drukiem utworów uwieńczonych na konkursie zdumiewać mógł jego wyrok, przyznający *Albertowi* pierwszą nagrodę wraz z patentem arcydzieła, to obecnie, gdy zaczęły wychodzić na jaw prace upośledzone, można istotnie osłupieć wobec dziwnego probierza tej komisyi krytycznej. Poznaliśmy w rękopisie bardzo ładną pracę A. Nossiga *Król Syonu*, ale najtrudniejszą zagadkę w tej sprawie stawia przed nami *Larik* p. J. Gadomskiego. Jakim sposobem sąd konkursowy, mając tę tragedyę, mógł pierwszą palmę ofiarować *Albertowi*, to dla krytyki pozostanie faktem niezrozumiałym.

Treść do tej pracy zaczerpnął autor z dziejów brytańskich. Galgakus, zamierzając złamać panowanie rzymian, porozumiewa się tajemnie z Larikiem, używającym śród nich dobrego imienia. Starzec ten, przy pomocy syna swego i młodzieży, sieje w narodzie iskry buntu, które szybko ogarniają serca i umysły płomieniami. Przez zdradę Brania Larik dostaje się do więzienia, z którego jednak wkrótce zostaje wyswobodzony. Musi on wytrzymywać uderzenia całego szeregu piorunów, które pierś starą roztrzaskują. Własna córka jego oddaje się rzymianinowi, towarzysze go nienawidzą i poświęcić pragną, wreszcie bunt nie udaje się, a jego sprawca ginie na szubienicy.

Trudno powiedzieć, ażeby charaktery tej tragedyi rysowały się wyraziście, występują one w konturach nakreślonych barwnymi ołówkami, a czasem widać w nich tylko jaskrawość. Sam Larik, gatunek Leara politycznego, chociaż z wielką staranności cieniowany, nie zawsze do człowieka podobny. Autor zbyt wiele zwalił na niego nieszczęść i okropności losu, zbyt go zahartował jednem uczuciem nienawiści dla rzymian. Wygląda on też, jak gdyby w nim jeden nerw wyrósł do olbrzymiej grubości, a inne całkiem zaniknęły. Potworność jego jest sympatyczną, ale nie przestaje być potwornością. Inne postacie przeważnie stworzone są na to tylko, ażeby głośnemu bohaterowi dokuczać. Po za nim nie posiadają one własnego życia.

A jednak cały ten obraz ze wszystkimi swymi brakami sprawia wrażenie i należy do najlepszych nabytków literackich roku bieżącego. Jest w nim głębia uczuć, jednorodnych wprawdzie, ale potężnych i wypływających ognistą lawą, jest bogactwo i siła w ich wyrażeniu. Autor posługiwał się pewną manierą, nie zwiera swej mowy dostatecznie i grzeszy gadatliwością, ale ciągle jest poetą i dramaturgiem. Niektóre sceny — np. spotkania z córką — wstrząsają czytelnikiem. Ile razy tylko odżywa się ta struna, którą autor głównie, niemal wyłącznie naciągnął w sercu swego bohatera, wydaje ona dźwięki szczególnej mocy. P. Gadomski jest pisarzem politycznym i na lirze Tyrteusza gra najlepiej; inne uczucia nie nastrajają go równomiernie. Tę samą mniej więcej lirę ujął p. Kozłowski; ale co za olbrzymia różnica talentu! Przy czytaniu *Alberta* trzeba często na wytężenia bezsilnej muzy odpowiadać śmiechem, przy czytaniu *Larika* nie opuszcza nas ani na chwilę wzruszenie. Jest to objaw istotnego talentu, który nie potrzebuje ani desek scenicznych, ani aktorów, ani wyroku konkursowego, żeby rzucić jasne smugi światła; jest to praca, która wchodzi do literatury bez okazania biletu reklamy.

A. S.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

„Lutnia." — Stowarzyszenia lat ostatnich. — Wartość usiłowań zbiorowych. — Potrzeba zawodów. — Nieznane rozmiary możności. — Wyścigi ofiarności w Paryżu. — Na czem my byśmy poprzestali. — *Wszechświat* zachwiany. — Wspomnienie przeszłości.— Procesy. — Student kucharzem. — Praktyczność rachuby. — Sztuczne opale.

...Szlachetny wyścig odbył się w Paryżu: wypędzony z Francyi ks. d'Aumale darował Akademii majątek wartości 30 milionów fr.; wkrótce potem właściciel słynnego magazynu dał biednym 4 miliony; właściciel innego, nie chcąc pozostać w tyle, poświęcił im 3 miliony. Istotnie, wyścigi takie odbywać się mogą tylko we Francyi i nie myślących stawiać za wzór naszym arystokratom i kapitalistom. Chciałbym wszakże, ażeby oni miewali bodaj drobne fantazye w tym rodzaju. Pozostawiłbym nawet w spokoju ich kasy, aby tylko na rzecz ogółu ofiarowali pewien procent swych wpływów i stosunków. Przecież ci ludzie, którzy wyrabiają koncesye na drogi żelazne, banki, spółki akcyjne itd.—mogliby od czasu do czasu wystarać nam się o jakieś towarzystwo niekoniecznie finansowe. Gdy p. Kronenberg z Natansohnem nie żałowali starań, stworzyli Kasę Mianowskiego. Na ramionach kornego tłumu czcicieli złotego cielca stoi liczny zastęp możnych, którzy po za interesem własnym nie zagięli sobie nawet palca dla korzyści ogółu a którzy lekkim trudem mogliby mu wyświadczyć cenne usługi. Gdyby za to ks. d'Aumale wynalazł nową uzdę dla koni rasowych a właściciel Magazynów Lawru nowy sposób jadania ostryg — no, kto wie, zapewne pomyślelibyśmy o naśladowaniu ich.

Nic nie szkodzi, pukajmy śmiało do drzwi pańskich, bo one na to nie zwracają uwagi. Stało się to już tajemnicą publiczną, że *Wszechświat*, jedyne u nas pismo przyrodnicze, ma być zachwiany. Minęły piękne dni Aranjuezu, kiedy to nasz ogół zajmował się badaniami przyrodniczemi, kiedy z gorączkową ciekawością nasłuchiwał, co mu wiatr przyniesie od Darwina, Haeckla, Wallace'a, Quatrefage'a, Vogta, a bodajby Büchnera. Może *Wszechświat* nie jest w tej dziedzinie szybkonogim Merkurym, może zbyt zadumał się nad zagadnieniami szczegółowemi, ale gdyby on nawet co tydzień otwierał pełną garść prawd nowych i ogólnie zrozumiałych, nie obsiałoby go czytelnicze ptastwo. Do takich ziarn już ono się nie zlatuje, woli dziś plewy dnia powszedniego. Cóż więc pozostaje ubogim przytułkom nauki? Łaska pańska, która „na pstrym koniu jeździ."

Przed kilku dniami rozegrał się w sądzie ostatni akt słynnego procesu o podpalenie, słynnego głównie przez to, że obwinionym był autor poczytnej Historyi Literatury—p. Rycharski. Trzymał on w dzierżawie kilka folwarków, których budowle i plony jednej nocy zgorzały. Jakkolwiek fakt podpalenia nie uległ wątpliwości, ręka wszakże zbrodniarza pozostała ukrytą, a obarczony poszlakami został uniewinniony. Nie o rozbiór tej sprawy mi chodzi, ale o częste procesy Towarzystw asekuracyjnych z ubezpieczonymi. Dzięki rozpowszechnionym, a zbrodniczym spekulacyom, instytucye te straciły wiarę w uczciwość swych klientów i z zasady w każdym pogorzelcu szukają naprzód kryminalisty. Niejednokrotnie obarczą krzywdzącem podejrzeniem ludzi uczciwych — a takie piętno, nawet starte wyrokiem sądowym, boli, ale z drugiej strony trudno im się dziwić. Czyż można żądać od nich zaufania, jeżeli ustawicznie widzą ślady złej woli? Gdyby nie nafta, drzazgi i zapałki, znajdowane w sklepach, fabrykach, gdyby nie pakuły oblewane smołą pod budynkami — zapewne nie mielibyśmy tylu spraw kryminalnych. Dziś, jeśli piorun nie trzaśnie i przyczyny pożaru jasno nie oświetli, zawsze powstaje przypuszczenie, że ogień podłożyła zbrodnicza ręka. Rycharski, który stanął wobec najfatalniejszych poszlak, mógł właśnie paść ofiarą tej pożogi, jaka się szerzy w naszej moralności. Jak tę pożogę stłumić? Ach, doprawdy, mniej zajmujmy się sprawami politycznemi, teatrem, hypnotyzmem, programami, arystokracyą, demokracyą, a z przeznaczonych na te rzeczy trudów i starań ujmijmy nieco dla podniesienia moralnego poziomu społeczeństwa. Tą stroną bowiem zapadamy się coraz głębiej, na tę nogę kulejemy coraz bardziej.

Syk nieprzyjemnego zdziwienia odezwał się z kilku pism na wiadomość o dziwnym „mezaliansie," jaki splamił naszą tradycyę: student poślubił — kuchnię. Wyrozumowawszy sobie, że praca naukowa nie zaprowadzi go daleko, postanowił odbyć gruntowne studya gastronomiczne i zostać kucharzem. Ponieważ trudno przypuścić, ażeby nauka straciła w nim cenną perłę, można więc tylko oceniać jego przeskok miarą praktyczną. Otóż chyba nikt nie zaprzeczy, że pod tym względem rachuba przyszłego Trompette'a wytrzymuje najsurowszą krytykę. Znakomity kucharz ma dziś jeszcze pewniejsze łyżwy, niż znakomity uczony łapcie. Powietrze czasu obecnego zawiera przeważnie pierwiastki praktyczne, cóż tedy dziwnego, że ludzie roztropni nimi oddychają? W każdym razie lepiej podkładać ogień pod garnki i rondle, niż pod domy i stodoły, a nawet pod cudzy honor.

* * *

Bezimiennemu polemiście, który asańskim tonem wyzwał mnie do dyalogu, nie psuję rozkoszy monologowania i daję mu dalszą *carte blanche*, przekonany mocno, że mi zwróci *carte noire*. Wiem, czego mam

się spodziewać od ludzi, którzy sądzą jeszcze, że używanie w polemikach chustki do nosa pozbawia literaturę cennych — opalów.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Hultaje chłopi przez upór tylko trzymają się swojej mowy i swojej własności. — Wzniosła idea żywności, złożonej z kaszy i kartofli. — O wpływie kuchni dworskiej na „magazyny zdrowia i sił narodu." — Odgrzebanie pomysłów p. Jordana. — Uciecha przedwczesna. — Obszary dworskie i emigracya chłopska. — Pruskie niedołęztwo i nasza dzielność. . w słowie.

Nareszcie odezwał się głos bezstronny i znajomością rzeczy nacechowany, malujący polskiego chłopa takim, jakim jest. Głos to „ze wsi"; przemówił do nas w *Słowie*; autor jego, uderzając na znane niedorzeczności prospektowe pisma „podporządkującego" — pragnie zarazem rozczarować „panów od zielonego stolika," którzy uparcie chłopu różne przyznają zalety, mogące jakoby ważną rolę odegrać w zachowaniu ziemi itp.

Niechże się ci panowie raz dowiedzą rzetelnej prawdy, która tak brzmi:

1) Chłop jest najtwardszym konserwatystą; konserwatyzm ten jednak bynajmniej nie wypływa z jakiejś ukochanej lub silnie przyswojonej idei. Jest to konserwatyzm najzupełniej rzeczowy, tyczący się zachowania praw i dogodności nabytych; znosi on z rezygnacyą nawet to, do czego nie ma sypatyi, byle mu ono zapewniało to, co posiada, nie chce zaś grać w żadną loteryę, wszelkiego niewiadomego sobie najgorzej się obawiając.

2) Chłop jest najtwardszy pod względem zachowania i przechowania (zapewne przekazania swym dzieciom) narodowości; lecz i ta zaleta również nie wynika z żadnej idei, a (tak!) jest po prostu rutyną, nałogiem twardym, a tembardziej upartym, im trudniej wszelkie nowości do tej licznej a zbitej masy mogą mogą się przedostać.

3) Chłop jest magazynem zdrowia i siły fizycznej narodu; wprawdzie niektórzy jego przyjaciele kładą na to silny nacisk, że on się źle bardzo odżywia (Prus) i że byłby bez porównania bardziej produkcyjnym i rozwiniętym, gdyby się mógł karmić rostbeefem. Pomimo to wszakże, ten chłop, odżywiający się barszczem z kartoflami, kapustą i kaszą, z dodatkiem niekiedy słoniny na okrasę, dokonywa znaczną bardzo sumę fizycznej pracy i na jednym palcu okręciłby niejednego literata, odżywiającego się ekstraktem Liebiga i krwawym angielskim bifsteksem.

Oto mi dopiero dowodzenie przekonywające. Dla chłopa niema ukochanej idei. A gdzież się podziała jego religijność? Wszystkie mniemane zalety chłopa, przywiązanie do swojej własności, do swojej mowy, niechęć do loteryi (a więc i gry w karty) da się sprowadzić do jednej wady: uporu. Dlaczego się to nazywa uporem? Chyba dlatego, że jest polskiego chłopa właściwością. Nie u szlachcica już nawet, ale u chłopa flamandzkiego naprzykład, taż sama właściwość nazywałaby się inaczej: wytrwałością, oględnością lub podobnie. U nas jest uporem, z którego wyższe klasy szczęśliwie się wyleczyły. Ciekawe jest, że za miarę do oceniania siły fizycznej naszych chłopów używa korespondent siły fizycznej naszych literatów! Ani mu na myśl przyjdzie, żeby do porównania użyć chłopów innych, lepiej żywionych, albo żeby zapytać lekarzy o zdrowotność naszych chłopów. Najwidoczniej przekonany jest, że gdyby lepiej się żywili, to ich siły fizyczne poniosłyby uszczerbek. W tej samej korespondencyi znajdujemy skargi z powodu braku odbytu na mięso i nabiał; ponieważ mięso i mleko inwentarzy chłopskich zjadane jest po miasteczkach za niską bardzo cenę, zatem dla droższego mięsa i nabiału, produkowanego przez większą własność, targi małomiasteczkowe są zamknięte. Rzecz jest widoczna, że większa własność wyszłaby daleko lepiej na tem, gdyby chłop sam był spożywcą mięsa i mleczywa, bo wzrosłyby ceny tych przedmiotów, bo dalej chłop zmuszony byłby więcej zarabiać na swoje wyżywienie, a stąd łatwiej byłoby o robotnika, i nareszcie może w samej rzeczy ten chłop, lepiej żywiony, byłby w stanie lepiej i więcej pracować. Pomimo to wszystko większa własność, która jest zachowawczą nie przez upór, ale z przywiązania do idei— jak w tym razie — do idei żywienia chłopa kaszą i kartoflami, woli przedrwiwać zielone okulary panów od zielonego stolika, niż poważniej zająć się pytaniem, dotyczącem sposobów ulepszenia chłopskiej strawy.

Jakim sposobem mogłoby ulepszenie to nastąpić? Niezbyt dawno temu, autor „Listów Jordana do pana Jana" w *Tygodniku ilustrowanym* zachęcał usilnie do poprawienia rasy koni chłopskich i rogatego bydła chłopskiego, a mianowicie do nabywania na targach dla dworskich obór i stajen, okazalszych i lepszych sztuk od włościan. Kosztowałoby to nieporównanie taniej, aniżeli sprowadzanie kosztownych okazów zagranicznych i dawałoby nierównie więcej warunków powodzenia, gdyż rasa chłopskich koni i bydła odznacza się wytrwałością, łatwością hodowania i mnóstwem innych zalet, które przy staranności można by rozwinąć wysoko. Nawiasem mówiąc, obywatelska ta myśl ziścić się ma niebawem w sposób, o którym autor „Listów" może i nie myślał. Jedno z pism rosyjskich puściło w obieg pogłoskę, według której zarząd stadnin rządowych ma się zająć poprawą inwentarza chłopskiego. Lecz jak pieczołowita i pomyślnym skutkiem uwieńczona praca około poprawy inwentarza miejscowego wpłynęłaby prawdopodobnie drogą przykładu na włościan, tak i propaganda polegająca na zwiększeniu ilości nabiału i mięsiwa dla dworskich parobków i fornali prędzej czy później osiągnęłaby skutek podobny. Wiejska ludność we Francyi początkowo brzydziła się kartoflami. Za darmo nawet nie chciała brać ich nasienia. Spożywać odważyła się ledwo pod wpływem panującego nieurodzaju, głodu i ostatecznej nędzy. Wyższym warstwom potrzeba było dopiero królewskiego przykładu, żeby w nich wstręt do tej „psianki" przełamać. Nareszcie jednak zachęty zrobiły swoje. Szary kartofel jeszcze przed stu laty za dziwoląga uchodzący na stołach, już dziś jest niezbędną potrzebą wszystkich stanów.

Umiemy się dla idei poświęcać. Dowodem owi prenumeratorzy dzienników, którzy, jak donosi *Tydzień piotrkowski*, odbierają z poczty stale tylko raz na kwartał czasopisma prenumerowane. Oczywiście tedy prenumerują nie z potrzeby czytania, ale wyłącznie dla idei... Dla idei popierają ludzie zamożniejsi literaturę książkową; bo dla biednych niema w żadnem z miast gubernialnych i powiatowych biblioteki i czytelni publicznej. Oczywiście nie istnieje potrzeba takich instytucyj. Rozpowszechniać dla idei użycie mięsa i mleka, trąci to zapewne materyalizmem obmierzłym. Ale i w materyalizmie tym jakieś dobre ziarnko dałoby się może odszukać, skoro idzie o „magazyny zdrowia i siły fizycznej narodu."

W *Gazecie lubelskiej* p. M. Er. podnosi inną ciekawą stronę stosunków wiejskich. Powołując się na statystykę, twierdzi, że na kradzieże, popełniane przez włościan, zapatrują się inaczej sądy gminne, a inaczej zjazdy sędziów pokoju. Te ostatnie stale łagodzą lub uchylają wyroki sądów gminnych, co wszakże nie wpływa na postępowanie tych ostatnich. P. M. Er. wynurza zdanie, że „im kary są umiarkowańsze, im większa pobłażliwość sądu., tem mniejszą wyrządza się krzywdę jednostce, bez narażenia istotnych interesów społecznych."

Gdyby nawet nie pisać się na tę teoryę, to jeszcze wypadałoby zastanowić się poważnie, w jakiej mierze „antagonizm" w tym kierunku, trwający pomiędzy niższą a wyższą instancyą, może istnieć bez szkody dla powagi i zaufania, o jakie niższa instancya dbać winna i w jakiej mierze surowsze jej orzeczenia posiadają sankcyę moralną ogółu.

. . . .

Nie od wczoraj zaczęły Prusy kolonizacyjną robotę. *Dziennik łódzki* streszcza ciekawą pracę profesora Schmollera, wykazującą, jak władcy pruscy jeden po drugim łożyli miliony na germanizacyę. Nigdy wszakże czynność ta nie prowadziła się z takiem upokorzeniem naszem ostatecznem. Wspomniana praca podnosi także kwestyę emigracyi ludowej, dotykającej głównie wschodnich dzielnic Prus. W roku 1885 Prusy zachodnie utraciły 9,821 osób, Pomorze 11,390, Poznańskie 9,784. W roku 1880 cyfra dochodziła do 11,998 w pierwszej prowincyi, 10,061 w drugiej i 10,174 w trzeciej. Ciekawym jest fakt, że w tych właśnie wschodnich prowincyach większa własność posiada stosunkowo daleko większe obszary, niż w południowych i zachodnich. W prowincyach nadreńskich wielka własność zajmuje 6% obszaru, w Westfalii 10%, w Hanowerskiem 12%, w Saksonii 20%, w Brandeburgii 40%, w Prusach 50%, na Pomorzu 60%, w okręgu stralzundzkim dochodzi do 80%; drobna własność rolna zajmuje tylko 14%, pozostałe 6% należy do miast. Cyfry te zasługują na uwagę przeciwników parcelacyi.

Mamże mówić jeszcze o korespondencyi z Poznańskiego do *Słowa* (nr. 245), głoszącej, że cała prusa robota kolonizacyjna jest niedołęztwem i że damy sobie przewybornie radę przeciwko niemcom?

K. Zbrucki.

Sprostowanie. *Wiek* w korespondencyi z Łasku podał przed kilku tygodniami wiadomość, popartą faktami i dowodami, że pastor w Zduńskiej Woli giermanizuje nazwiska ludności miejscowej w aktach chrztu (Słowińskiego przezywa Nachtigalem, Frankowskiego — Frankiem, Cepa — Fleglem itp.). Wiadomość ta obiegła prawie wszystkie pisma i wywołała mocne oburzenie. *Prawda* również zaznaczyła ją. Dotknięty poważnym zarzutem pastor zażądał od sądu przeprowadzenia śledztwa, a jednocześnie kilku redakcyom przedstawił dowody prawidłowości swego postępowania. Z dowodów tych okazuje się: 1) że dawniej prowadzący księgi stanu cywilnego ksiądz katolicki, słusznie uwzględniając faktyczną i zwyczajową przemianę nazwisk kilku rodzin niemieckich, spolszczył je w metrykach (np. Nachtigala nazwał Słowińskim); 2) że pastor B. wcale nie giermanizował swych parafian, lecz zapisywał dzieci do ksiąg pod właściwemi nazwiskami rodziców i na wyraźne ich życzenie; 3) że mniemane ofiary giermanizacyi zaprzeczyły temu w zeznaniach urzędownie stwierdzonych. Takie przekonanie my osiągnęliśmy z przedstawionych nam dowodów. Ponieważ zaś, jak nas zapewniły osoby poważne i zaufania godne, pastor B. charakterem swoim wyłącza nawet możliwość podobnej propagandy, zdejmujemy z niego najchętniej, cień niesławy, o ile ona pośrednio przez nasze pismo go dotknęła. Na podstawie materyału nam znanego, przypuszczamy, że sąd wyrokiem swoim rozproszy krzywdzącą legendę i nie znajdzie w porządku z prawdą korespondenta, który postawił—jak mniemamy— niewinnego czło-

wieka pod pręgierzem i dotąd go w pismach stawia. O rezultacie ostatecznym tej sprawy powiadomimy czytelników naszych.

POD MIKROSKOPEM.

Derbheit ist nicht immer Redlichkeit.
Grilparzer.

I.

Czy nie miałem racyi wdziewając, według Lama, kalosze z pseudonymu? Osobiste błotko już prysło, a ponieważ ja jestem ubezpieczony, więc obryzgało za mnie redaktora *Prawdy*. Zwyczaj warszawski, czekający na swoją kanalizacyę. W Anglii, która od kilkunastu lat kształci się w sprawach przedmiotowych, dawno podarowany został przez prasę *gin-housom*; u nas jeszcze, gdy jakieś pismo wyrazi swoją opinię o innem, odpowiada mu się: słuchaj ty panie Świętochowski lub Wiślicki. Przy tych słowach rycerz wygina się w tył, przekrzywia czapkę na bakier, nos podziera do góry, dym z papierosa mocno wydmuchuje — słowem przybiera możliwie „demokratyczną" minę. Mina ta w książeczkach legitymacyjnych, składanych abonentom na początku wydawnictwa lub przed nowym rokiem, określa się jako „polemika o zasady i prawdy naukowe" i unikanie „drobnych kłótni i swarów idących z prywaty."

Post nubila Phoebus! „Młody kogut, który — według Prusa — pieje fałszywie" na chłopskim płocie, *Głos* w ten właśnie sposób odemścił moje o nim uwagi. Jego „komitet" przyłożywszy uszy do dziurki od klucza tajemnic redakcyjnych *Prawdy*, wysłuchał, że pod mikroskopem oglądą go „pan Świętochowski." Nie jestem zbyt surowym w pojmowaniu reguł przyzwoitości literackiej, ale na taką swobodę rzec muszę: fe! — i wzajem nie próbuję odgadnąć autora bezimiennych pukań, za które nie jest odpowiedzialny nawet p. Kiersz. Panowie, dopóki prowadzimy spór dziennikarski, nazywam się dla was Gezyasz i proszę mi nie zaglądać pod maskę. *Fa vete linguas*—i zechciejcie łaskawie wyłączyć mnie z pod praw „chłopskiej cywilizacyi," zwłaszcza że nie mam pretensyi do waszego „demokratyzmu." Chociaż od czasu, jak — według Shakespeare'a — „z każdego kpa powstał szlachcic, każdego szlachcica kpem nazwać wolno"—w tym jednak wypadku sympatye moje są po stronie szlachty i nieboszczyka Chomińskiego, który ciągle przypominał swoim towarzyszom: „szanujmy się."

Otóż kogucik pokazuje światu w okolicach swego serca trzy głębokie rany, zadane mu przez „daleko godzącego," nie-Apolla — Świętochowskiego: pokrewieństwo z *Fortuną*, podobieństwo do bakteryi i użycie konkursu za środek reklamy. Krew płynąca z tych ran spada na moją głowę — niegodziwy Kain odpowiadam za krzywdę Abla.

P. Komierowski założył *Fortunę*, do której weszli i demokratyczny sztandar rozwinęli główni kierownicy obecnego *Głosu*. Gdy sztandar ten uszargano im, próbowali go częściowo wywiesić w *Wędrowcu*. Tymczasem *Fortuna* zamieniła się na *Figaro warszawskie*, które nabył p. Kiersz i przekształcił na *Głos*, przy którym znaleźli się znowu ojcowie chrzestni *Fortuny*. Stanowią oni rodzaj wędrownej trupy redakcyjnej, która powierza się różnym przedsiębiorcom, albo też — konstelacyi gwiazdek, która pojawia się, znika i występuje w innej stronie nieba pomnożona lub uszczuplona. Ponieważ konstelacya ta mocno wierzy w siłę swoich promieni, więc objawia nadzwyczajną drażliwość na przypomnienie jej chwil, w których one gasły. Faktem jest, że z *Fortuny* powstało *Figaro*, a z *Figara — Głos*, ale przeklęte usta, które ten rodowód zaznaczą, nawet bez zamiaru obarczania potomka winami przodków. Czy jakieś przyszłe *Echo* tego *Głosu* nie wyprze się? Bogi o tem wiedzą. Tymczasem stoi przed nami Minerwa, która nie posiada rodziców, tylko, jak sama ze szczególną nieuwagą wyznaje, wyskoczyła z głowy — *Prawdy*. Wszelkim innym związkom zaprzecza tak dalece, że nawet obecność p. Kiersza, swego redaktora przy „komitecie" usprawiedliwia „przepisami prasowymi." Dziwnie skromnie w tem oświadczeniu wygląda ów „zaledwie wchodzący do dziennikarstwa" twór „przepisów prasowych," zwłaszcza że gdyby tę „władzę" oddał całą doradcom i odszedł ze swoją kieszenią, nie wydali oni by — głosu.

Pismo to jest tak drażliwe, że gdyby kto w towarzystwie opowiedział bajkę o dwu braciach mądrych, a jednym... naiwnym, ono z pewnością powstałoby zagniewane. Przynajmniej ile razy *Prawda* zaśmieje się ogólnikowo, *Głos* w tej chwili komenderuje: strój się—pal! i „komitet" strzela z karabina magazynowego. Napisałem, otwierając tę rubrykę, że będę mikroskopował „komórki i włókna naszej tkaniny umysłowej i społecznej, jej grzybki i bakterye zabarwione przyjacielską fuksyną." Cóż sobie *Głos* wybrał? „Komórki i włókna?" Nie — „grzybki i bakterye." Nie miałem ani myśli, ani zamiaru widzieć w nim kolonii laseczników, ale dziś mój mikroskop bakteryę w tem ciałku wskazuje. Jest nią szpetna i nieodłączna od warszawskiego powietrza insynuacya. „Komitet" utrzymuje, że „wydawca *Prawdy* opanował jej redaktora," który „po założeniu księgarni" winienby zwrócić się ze swym „egoizmem" do pp. Gebethnera i lub Wendego. Innemi słowy: redaktor *Prawdy* — to dziś jedynie kupiec, któremu święty ogień wykradli Prometeusze i rozniecili w *Głosie*.

Są wyrazy, których otwierać nie potrzeba, bo same pękają i wydają woń znamienną. Na szczęście — jak mówi Schiller— „obrazić może tylko nagana słuszna, nie zaś krzykliwa." „Komitet," który przyjął obowiązki u p. Kiersza, „zaledwie wchodzącego do literatury" i tylko „przepisom prasowym" zawdzięczającego swoją rolę redaktorską, ów komitet, którego nie razi handel win własnego pryncypała a razi maleńki kantorek księgarski literata, mającego po 20 latach pracy zapewnione całe buty— zaiste musiał nie słyszeć o przysłowiu francuskiem, że „w domu wisielca nie wspomina się o sznurku" a natomiast uprawia filozofię Dyogenesa. Tym zarzutem nie powinien *Głos* obrzucać nigdy i nikogo, jeśli nie chce, ażeby jego dobra wiara na innych punktach była podejrzaną. Dla kilku literatów może on być organem przekonań, ale dla wydawcy „zaledwie wchodzącego do dziennikarstwa," będzie tylko przedsiębiorstwem kupieckiem, które żadnym komitetom nie da się „opanować." Blaga ta nic nie pomoże, choć okryje prawdę gazą.

Nareszcie miałem, jako „p. Świętochowski"— nazwać konkurs *Głosu* „reklamą" i „spotkać go z szyderstwem." „Są kłamstwa — powiada Dikens — na których człowiek świetlanemi skrzydłami wzlatuje ku niebu." Ale na tem *Głos* nie wzniósł się wysoko. Uśmiechnąwszy się bowiem nad zużytym środkiem, wyraziłem dla konkursu właśnie pochwałę.

Moje szkiełko w mikroskopie jest złe; pożyczam więc sobie lepszego od *Głosu* — i co widzę? „Bakteryę egoizmu," która temu pismu każe krzyczeć, ażeby o nim mówiono. Ma on nawet błogą nadzieję, że mój mikroskop ustawiłem w *Prawdzie*, dla badania krtani jego. Naiwny przyjacielu, wkrótce przekonasz się o słuszności słów J. Paula, że „wspomnienie jest jedynym rajem, z którego nie możemy być wypędzeni." Maluczko a przestaniesz zajmować wszystkich i mnie, chociażbyś nawet—*jak dotąd*—„wyrzekł się drobnych kłótni i swarów płynących z prywaty" — czemu wierzyć można. „Ktoś — powiada Goethe — myśl porównał do Racheli a działalność — do Lei: jedna była przyjemną a druga — płodną" I Rachela *Głosu* była powabną, i Lea jest brzemienną. Ale urodzić biedaczka nie może i ustawicznie pluje, bo ją mdli — czczość.

II.

Powiastki i powieści malują życie chłopskie, w prasie występują: chłopska religia, chłopska cywilizacya, nawet—żeby nowa świątynia miała kopułę — osadzono na niej chłopską epopeję. Słychać również, że jedno z pism ludowych ma być również zabarwione chłopskimi interesami — słowem, literatura nasza włożyła sukmanę, czapkę baranią i buty juchtowe. Niedawno jeszcze wołano jak Dikens: „Kaznodzieje zadowolonej i szanowanej dumy, idźcie do kopalń, młynów, kuźni, w brudne głębiny najgłębszej ciemnoty; w otchłanie ludzkiego zaniedbania i powiedzcie, czy obiecująca roślina może wybujać w tem powietrzu, które jest tak zepsutem i zgniłem, że gasi pochodnię duszy ledwie zapaloną?" Dziś „faryzeusze XIX w." posyłani są przedewszystkiem do chat wieśniaczych. Chwilami zdawało się, że arystokracya, która — według pewnego jej przyjaciela francuskiego— ma trzy pory: „wiek panowania, przywilejów i nicości" — weszła u nas już w trzeci okres. Ale obudziła się, a raczej obudziła swoją służbę, która wypadła na podwórze i zaczęła odpędzać hałasujących pod pańskiemi oknami demokratów. Rozpoczęła się bójka — w prasie. Przyznać trzeba, że czeladka tych, którzy „zadali sobie trud urodzenia się" — walczyła mężnie, i dalej przyznać trzeba, że jest konsekwentniejszą. Arystokracya, szlachta wymaga tylko obrony i obsługi— te obowiązki jej drużyna spełnia. Lud wymaga pomocy i przewodnictwa — tego od swych opiekunów nie ma. Demokraci nasi są tylko ekonomami, którzy batogiem wypędzają szlachtę do pracy pańszczyźnianej na niwie ludowej, ale sami nic nie robią. „Nawołują," „uświadamiają" — nic więcej. Czy nie za dużo tych kwiatów a nie za mało owoców? Przed kilku miesiącami pewien ciemno-żółty dziobek wyrzucał naszym programom i dążeniom „brak gruntownej wiedzy," której sam zaledwie kruszynę połknął. Zdarza się to u nas często, że chory bywa najkrzykliwszym lekarzem. Otóż zdaje mi się, że demokraci nasi powinniby odjąć od ust trąbkę „nawoływania," porzucić ekonomski batog. a natomiast zawinąć rękawy i ująć pług. Kurzawa słów i słów, wieczne napomnienia, co inni czynić mają. Promyk działa po swojemu, wydawcy „książeczek dziesięciogroszowych" również" działają, zamierzone pismo ludowe, oparte na potrzebach i interesach ludu, może tę gromadkę pomnoży, ależ to mysz z góry Niech chmura się zmniejszy, aby z niej rzęsistszy deszcz zrosił spieczoną glebę. Dzwonień i kazań dosyć— teraz trzeba dawać wiedzę i praktyczne rady prostaczkom, którzy za długo na nią czekają przed demokratyczną plebanią.

Przepraszam tę, w której to mówię, ale i od *Prawdy* należałaby się ludowi jakaś dziesięcina *).

Gezyasz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ofiara. P. F. Gebethner ofiarował swoje zbiory dzieł sztuki, porcelany itp. — Muzeum rolnictwa i przemysłu.

Wystawa szkiców, powtarzająca się corocznie, została otwartą w d. 10 listopada.

Emigracya robotników. Z Łodzi do Tyflisu wyjechało 250 robotników, zamówionych do powstającej tam fabryki wyrobów bawełnianych.

Przepisy o wzajemnem wydawaniu poddanych pruskich i rosyjskich przedłużone zostały za zgodą obu stron na lat dwa.

Sprzedaż miasta. Staro-Konstantynów, miasto powiatowe w gubernii wołyńskiej, należące do księżnej Abamelek, wystawione zostało na sprzedaż w drodze przymusowej.

Znany egiptolog J. Ebers napisał nową powieść historyczną p. t. *Nilbraut* (Oblubienica Nilu).

Bibliografia polska, *Kalendarz ilustrowany* Józefa Ungra na r. 1887. Układ zewnętrzny taki sam jak w latach poprzednich. W części literackiej, oprócz życiorysów, zawiera poezye, ośm noweli i opowiadań

*) Nie uchylilibyśmy się od niej, ale ponieważ „dziesięcina" ta nie mogłaby pochodzić z pola poświęconego, które jedynie w inteligencyi wiejskiej ma swoich patronów, więc dotąd jej nie złożyliśmy. Książka dla ludu, przez nas wydana, wkrótce weszłaby na indeks, czyli nie dostałaby się do ludu. Nie pozwolono by niego dróg a dzieli nas mur klerykalno-szlachecki. *Red.*

i kilka artykułów popularnych w sprawach społecznych i gospodarczych.

— Wołody Skiba: *Na paryskim bruku* (powieść).

— St. J. Czarnowski: *Postępy literatury peryodycznej* (studyum z dziejów prasy).

— A. M. Bart: *O własnościach i uprawie roli* (Biblioteka popularnych wiadomości rolniczych. Książeczka I).

Bibliografia rosyjska. N. P. N. Semenow: Iz Mickiewicza. Pierewody. Petersburg W tomie tym znajdują się przekłady *Wallenroda, Farysa. Sonetów krymskich*, urywku z *Pana Tadeusza* i 17 drobnych wierszy.

Nagroda. Akademia nauk w Petersburgu przyznała nagrodę imienia Puszkina w kwocie 500 rs. p. Siemionowowi za przekład poezyi Mickiewicza.

Apostoł. W Okuniewie pod Warszawą jakiś niemiec głosić zaczął zasady nowej wiary, między chłopami jednak nie znalazł prozelitów, owszem został obity kilkakrotnie, obecnie zaś władza pociągnęła go do odpowiedzialności za bluźnierstwo.

Puszcza białowiezka, należąca do skarbu, przechodzi na własność dworu Cesarskiego.

Plan użyznienia oazy Merwu, sporządzony przez p. [illegible]ziełło - Poklewskiego, przyjęty został przez rząd. [illegible]kutek przeprowadzenia kanałów, ogromna prze[illegible]rzeń ziemi jałowej stanie się zdolna do uprawy.

Kradzież. W Sewastopolu, jak donosi *Warsz. Dziennik*, skradzioną została armata, służąca do dawania sygnałów w porcie.

Nowa emisya banknotów rosyjskich nastąpi w roku przyszłym. W obieg puszczone będzie asygnat za 125 milionów rubli.

Zakaz. Wszystkie kluby francuskie postanowiły niedopuszczać w bufetach sprzedaży piwa niemieckiego.

115 pomników wzniesiono w ciągu ostatnich lat 15 we Francyi, my z jednym nie możemy sobie dać rady.

Odnaleziony fundusz. Jeszcze w początkach bieżącego stulecia dr Lernett, mieszkaniec Wołynia, uczynił zapis na cele wychowania. Z procentów od funduszu utworzono 4 stypendya dla uczniów szkoły klewańskiej. Później szkołę tę zamknięto, a o zapisie zapomniano. Obecnie kapitał urósł do 150,000 rs., dzięki inicyatywie kilku osób czynią się starania u władzy, żeby oprócz stypendyów resztę użyć na założenie i utrzymanie gimnazyum klasycznego w Łucku.

Wywóz świń z państwa rosyjskiego do Niemiec zmniejsza się stale. W r. 1880 wywieziono 705,750 sztuk wartości 9,628,913 rs., w 1881 — 573,040 sztuk, w 1882 -- 578,755, w 1883 — 417,000, w 1884 — 352,000, w 1885 — 203,000, wreszcie w pierwszej połowie r. b tylko 19,000 sztuk, wartości 538,000 rs. Zmniejszenie to przypisać należy ciągłemu podnoszeniu opłaty celnej, natomiast kontrabeda świń do Prus z każdym rokiem wzrasta.

Polygliotta. W Petersburgu bawi obecnie prof. Gamini, rodem włoch, który przewyższył ziomka swego Mezzofantiego, włada bowiem 93 językami.

Nowe pismo. Jeden z dentystów warszawskich wydawać ma nowe pismo miesięczne p. t. *Dentysta*.

Budżet Warszawy według przewidywań na rok bieżący wykazuje 3,196,072 rs. dochodu i 3,186,924 rs. rozchodu.

Przemysł w gub. mińskiej jest bardzo mało rozwinięty. Fabryk znajduje się 645, zatrudniających 3,469 robotników, z produkcyą roczną na 8,195,000 rs. Gorzelnie dają trzy czwarte ogólnej wartości produkcyi.

Upadek cen ziemi. W gub. radomskiej dobra Piotrkowice, rozległości 404 morgów, sprzedane zostały na licytacyi za 7,034 rs., Przybyszewo 1,354 mórg za 7,120 rs. i Słupia las 424 morgi za 1,909 rs. W takich okolicznościach współzawodnictwo banku włościańskiego byłoby chyba nader pożądanem.

Olej z kukurydzy wyrabiać zaczęto w Stanach Zjednoczonych. Produkt ten nie ustępuje innym olejom roślinnym, jest zaś znacznie tańszy.

Zmarli. Wilhelm Löwe Kalbe, wybitny działacz niemiecki z 1884 r. Skazany zaocznie na dożywotnie więzienie, emigrował i dopiero po 1861 wrócił do kraju. W ostatnich latach był członkiem parlamentu.

— Teodor Aubanel, znakomity poeta prowansalski.

— Aleksander Potapow, b. generał-gubernator wileński.

— Piotr Eibel, znany muzyk, członek orkiestry teatralnej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Jakóbowi G. w Płocku. Źle pan zrozumiał owo zdanie: jeżeli 200 marek (po kursie 30 kop.) równe 60 rs. daje rs. 3 czyli 5%, to 200 m. (po 50 k.) równe 100 rs. dając 5 rs., przedstawia około 8%.

Pp. Henr. Wielb. i Ign. Jabł. w Petersb. Wiadomość tę powtórzyliśmy za *Gaz. warsz.*

P. J. Now. w Petersburgu. Z księgarnią petersburską p. G. nie mamy żadnych stosunków: *Prawdę* dla Pana zaprenumerowała 2 listopada księgarnia Centnerszwera w Warszawie; numery 3 b. m. wysłano.

K. T. Tak.

Prenumeratorce z Libawy. Czy Pani chodzi o podręczniki pedagogiki dla siebie, czy o książki do czytania dla dzieci?

Sprostowanie. W nr. 45, str. 534, szp. 1, w. 5 od góry zam. „aryjskim" winno być „asyryjskim."

Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt **Biblioteki romansów i powieści** dla prenumeratorów miejskich.

Ogłoszenia.

Wielu nowych abonentów naszych wyraziło chęć posiadania poprzednich bezpłatnych dodatków *Prawdy* a niemożność nabycia ich po dotychczasowej cenie. Ulegając temu życzeniu, dla nowych (od 1 października) abonentów, *którzy co najmniej opłacą prenumeratę półroczną*, zniżamy cenę wszystkich dodatków *o połowę*, tak, że one kosztować będą:

Pypin: *Kwestya polska* (kilkanaście tylko egzemplarzy) kop. 50 (zam. rs. 1).
J. Brandes: *Główne prądy literatury XIX w.* rs. 3 (zamiast rs. 6).
Ekonomia polityczna rs. 1 kop. 50 (zam. rs. 3).
Liard: *Logika* kop. 50 (zamiast rs. 1).
Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (zeszyt I) kop. 25 (zamiast 50).

Zniżenie zatem ogólne wynosi rs. 5 k. 75.

Uwaga. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla. Naturalnie, dla nieabonentów *Prawdy* cena owych dzieł pozostaje dawniejszą.

Na początku roku przyszłego wyjdzie nakładem naszym w tłomaczeniu polskiem epokowe dzieło amerykańskiego badacza Morgana (z objaśnieniami Marxa i Engelsa), którego olbrzymią wartość wykazywaliśmy szczegółowo w jednym z artykułów *Prawdy* — p. t.:

SPOŁECZEŃSTWO PIERWOTNE

czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Dzieło to, które dało nową podstawę badaniom naukowym, mające przeszło 40 arkuszy druku, w drodze prenumeraty kosztować będzie tylko rs. 3., z przesyłką rs. 3 k. 30. Po wyjściu książki cena jej zostanie znacznie podwyższoną.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Октября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.